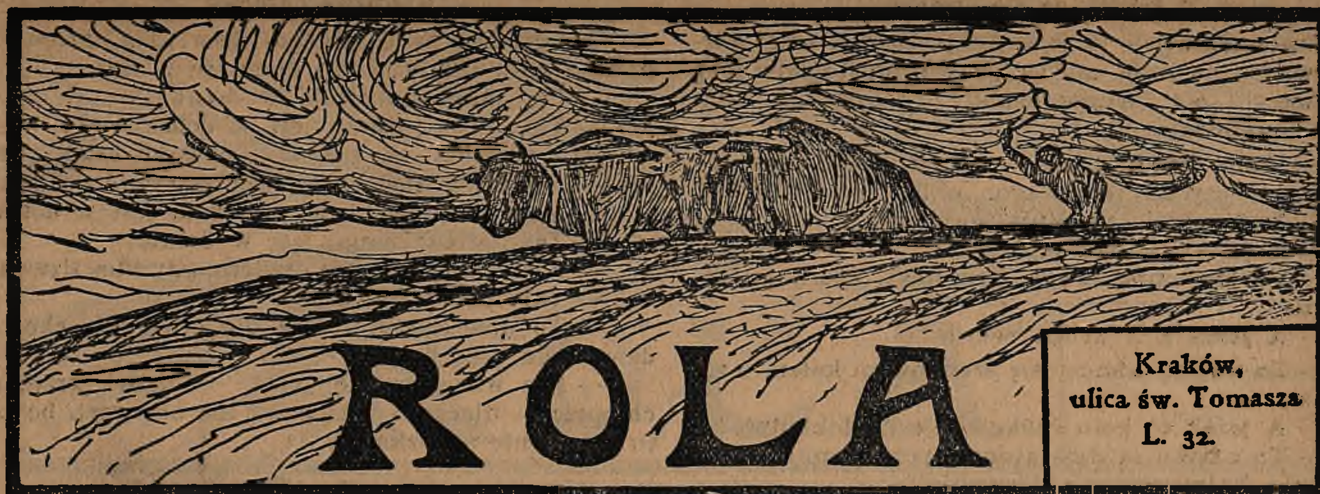
Numer 16. Należ. pocz. opł. ryczałtem. **Dnia 19 Kwietnia 1931**



Kraków, ulica św. Tomasza L. 32.

ILUSTROWANY BEZPARTYJNY TYGODNIK KU POUCZENIU I ROZRYWCE.

O takim, co się stracha.

Rzecz się dzieje w Szwajcarji. Zębata kolej górska, wagon na linie, ma iść prawie prostopadle trzy kilometry i pół. Wagon nabity pasażerami, konduktor sprzedaje bilety.

— Panie konduktorze — zapytuje jakiś lękliwy pasażer — czy aby ten wagon w dół się nie zwali?

— Jest przecie na linie stalowej.

— A jeżeli ta lina pęknie?

— To jest obok druga, zapasowa, która go zatrzyma.

— A jeżeli i ta druga pęknie?

— To wagon zahaczy się środkowem kołem o zęby i stanie.

— A jeżeli to koło funkcjonuje niedokładnie?

— To z boku są dwa automatyczne hamulce powietrzne, które wagon zatrzymają.

— A jeżeli te hamulce są zepsute?

— To motorowy ma pod nogami hamulec zapasowy, którym momentalnie zatrzymuje wagon.

— A jeżeli motorowy nagle umrze?

— To... to... to się daj pan wypchać — powiada wściekły konduktor — pan już wie czem...

W tem miejscu odzywa się potężnym basem jeden z pasażerów:

— A gdybyście mnie go dali, jabym go już przy drugiej lince wypchał. Choroba jakaś!



— Nędzniku! Tearaz widzę wyraźnie, że ożeniłeś się ze mną tylko dlatego, że miałam pieniądze.

— Nic podobnego. Ożeniłem się z tobą tylko dlatego, że sam pieniędzy nie miałem.

Podczas egzaminu.

— Co pan rozumie pod próżnią absolutną?

— Ja nie mogę tego dobrze słowami określić, panie psorze, ale w głowie to ja to napewno mam.

Grzeczny chłopiec.

W ogródku przed domem bawi się chłopczyk. Pewien pan wchodząc do domu pyta się:

— Czy mamusia twoja w domu?

— Tak, proszę pana, jest w domu.

Pan wchodzi na schody i dzwoni kilka razy; nikt nie otwiera. Podchodzi więc znowu do chłopca.

— Mówiłeś przecież, że mamusia jest w domu?

— Tak, proszę pana, jest w domu.

— A czy mamusia nie otwiera, gdy ktoś dzwoni?

— Tak, proszę pana.

— To dlaczego nikt mi nie otworzył, chociaż dzwoniłem pięć razy?

— Nie wiem proszę pana — mówi grzeczny chłopiec — dlaczego nikt panu nie otworzył, bo my tu wcale nie mieszkamy.



Co znaczy połatać.

Pewien włóczęga przybył na noc do domu, w którym mieszkała miłosierna kobieta i ta się go zapytała:

— Czy nie masz w węzełku podartych sukien i bielizny, tobym ci je połatała?

Włóczęga wyciągając z węzełka guzik, rzecze:

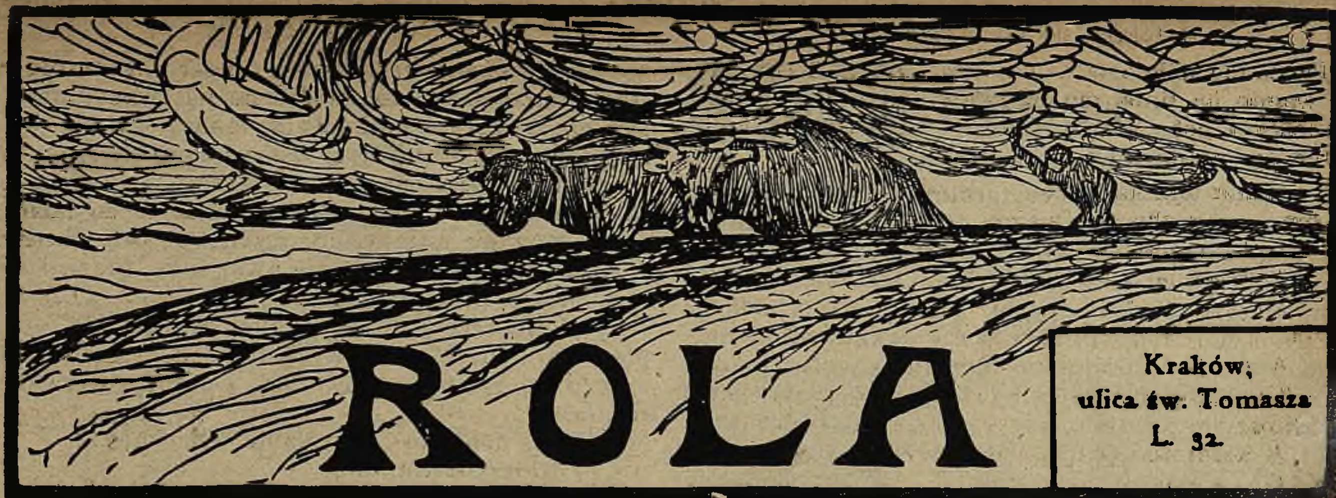
— O jaka pani łaskawa; mam tu guzik; proszę mi do niego przyszyć koszulę.



— Co? Pan żądasz miljona posagu? A ja byłem przekonany, że pan się żeni z moją córką z miłości.

— Żądając tak mało, daję chyba dostateczny dowód miłości.

Numer 16. Rok XIV. Kraków, dnia 19 kwietnia 1931.



ILUSTROWANY BEZPARTYJNY TYGODNIK KU POUCZENIU I ROZRYWCE

Prenumerata na rok 1931: Rocznie 12 zł, półrocznie 6·50 zł, kwartalnie 3·40 zł; do Czechosłowacji rocznie 50 koron cz., półrocznie 27 kor. cz., kwartalnie 15 kor. cz.; do Francji rocznie 60 franków fr., półrocznie 30 fr., kwartalnie 15 fr. — Do Ameryki rocznie 2 i pół dolara. — Numer pojedynczy we wszystkich agencjach i w Administracji »Roli« 30 groszy.
Adres na listy do Redakcji i Administracji »Roli« **Kraków, ulica św. Tomasza 32.**
Konto pocztowe w Polsce: Kraków P. K. O. 406.301 Konto pocztowe w Czechosłowacji: Praga Poczt. Urząd Czekowy 500.868.

Europa na wulkanie.

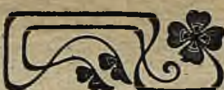
Zdawałoby się napozór, że w świecie nic ważnego się nie dzieje, a jeno bieda przytłacza wszystkich, brak pracy ludziom dokucza, a pieniędzy braknie nieraz na codzienne pożywienie. Pozatem ludzkość, znękana niedawną wojną, o niczem innem nie myśli, jak o zabezpieczeniu sobie i dla swych najbliższych znośnego bytu. Takby się zdawało, a przecież tak nie jest. Europa pomimo pozornej ciszy znajduje się jakby na wulkanie, a kraterami, z których może popłynąć po świecie ognista lawa są dwa z nami sąsiadujące państwa: Rosja i Niemcy.

W Rosji pieni się i gotuje. Do władzy przyszli tam po rewolucji bolszewicy, którym nie zależy na pomyślności własnej ojczyzny, ale którzy tylko to mają na celu, aby sami mogli używać, żeby sami mogli opływać w dostatki i wygody, reszta narodu niech zdycha w nędzy i upodleniu. Wskutek tego też garść tych, którzy się wybili na czele narodu, ma wszystko, czego dusza zapragnie, ma pieniądze i żywność, ma stroje i rozrywki, a ogół ludności cierpi nędzę, o jakiej my nie mamy pojęcia. A gdyby się ktoś z uciemiężonych oburzył, gdyby nawet tylko okazał niezadowolenie, gdyby się chciał bronić przed przemocą, ginie od kuli posiepaki bolszewickiego, lub idzie w dalekie strony do przymusowej pracy na całe życie. Odebrano włościanom ziemię, zmuszają ich do przymusowej pracy, a wzamian dają im głód i niedolę.

Ale pomimo, że lud rosyjski ciemny i bronić się nie umie, to przecież musi przyjść chwila, że i on obruszy się na swych katów, że i on chwyci za broń i strasznie zapłaci za swą dotychczasową poniewierkę. Może zwycięży, ale nie jest też wykluczone, że poryw przypłaci strumieniami krwi i tysiącami ciał poległych w czasie walk domowych.

Wybuch wulkanu rosyjskiego może wstrząsnąć całą Europą i rozpalić w niej pożogę jeszcze większą od tej, jaka była w latach wielkiej wojny. Gdyby przyszło do wybuchu w samej Rosji, to reszta Europy nie dopuściłaby do dalszego rozlewu tej pożogi, ale na taką sposobność czekają Niemcy, aby przy rosyjskim ogniu upiec własną pieczeń. Stało się źle, że po pogromie Niemiec Europa nie zabezpieczyła się przed ich odrodzeniem. I skutki tego zaczyna już teraz odczuwać. Oto Niemcy poczynają coraz bardziej wystawiać rożki i coraz butniej zachowywać się wobec reszty państw europejskich. Polsce odgrażają się już otwarcie, zapowiadając, że muszą odebrać nam i Górny Śląsk i Pomorze, a nawet Poznańskie. Co do pogromu innych państw narazie milczą, ale w duchu knują i przeciw nim zbrodnicze zamiary. Dowodem tego ostatnie ich pociągnięcia polityczne. Oto pod płaszczykiem unji celnej z Austrją chcą tę ostatnią włączyć poprostu w granice swego państwa. Gdy dojdzie do tego, a dojść może, jeżeli Europa nie zaprotestuje przeciw temu solidarnie i nie użyje przeciw nim siły, to wówczas w okręg swoich wpływów wciągną słabe Węgry i temsamem roztoczą swe wpływy od Bałtyku aż po półwysep Bałkański. Otoczone przez Niemcy z trzech stron Czechy nie oprą się ich potędze. Gdyby nawet zachowały przez jakiś czas niepodległość polityczną, to ekonomicznie staną się wasalem Rzeszy niemieckiej. Przyszłaby wtedy kolej na Polskę, a gdyby się im i to udało, dalszą ofiarą ich zachłanności byłaby Francja, na której krwawoby powetowały swą klęskę z 1918 roku.

Tak tedy Europa stoi na wulkanie, a rzeczą dyplomatów jest, aby do wybuchu tego wulkanu nie dopuścić.

Cecora.

Powieść historyczna.

Halszkę coś za serce targnęło. Może cierpiała i pociechy potrzebowała, a nie było jej znikąd; może wrodzona dobroć w tej chwili z siłą podwójną w duszy się odezwała, lecz żal jej było Jerzyka, żal niewymownie. Podrażniło ją już zajście na schodach, milczenie ze strony Plichty serce zakrwawiło, upokorzenie zaś młodzianka dopełniło miary żalu i smutku. Wysunęła się więc cicho z komnaty, przebiegła korytarz i sień, kierując się ku bocznemu wyjściu z dworca, gdzie spodziewała się spotkać Jerzyka.

Nie omyliła się.

Stał w połowie dziedzińca, jakby nie wiedział, co z sobą miał robić. Z za okopów pokazał się księżyc i blado-różowym blaskiem oświecił zamyśloną głowę chłopca. Jerzyk brew miał zmarszczoną, dyszał szybko; Halszce zdawało się, że płakał.

Podeszła i położyła dłoń swoją na jego ramieniu.

— Jerzyk! — szepnęła.

Odwrócił się szybko i spojrzał na dziewczynę.

— Ty nie bierz do serca słów komendanta; stary, to czasami przemówi ostro, ale opamięta się wnet i pożałuje. Ja go znam!...

Jerzyk milczał, robił tylko ruch rękami, jakby chciał ująć białe dłonie Halszki, ale śmiałości mu brakło. Usta drżały, przymykał to otwierał powieki, jakby rozpędzał łzy, albo myśli jakieś tłoczące się do głowy. A Halszka mówiła dalej:

— Nie bój się, niczego nie bój, krzywdy nie pozwolę ci zrobić. Jerzyk! ja mam serce dla ciebie...

Tu chłopak buchnął jej do nóg i w zapamiętaniu wielkiem całować począł. Całował stopy, kolana w jakiemś uniesieniu szału, aż się bronić zaczęła, obie dłonie pod usta mu podkładając, by już na nich tylko szał pocałunków się skończył, mówiła i groziła:

— Jerzyk!... a to co?... Bój się Boga, a mnie nie wstydź!... Wstań mi zaraz, bo gniewać się będę i już nie zagadam do ciebie. Tak nie można! Jerzyk!... Jeżeli już inaczej nie może być, a chcesz całować, to już całuj, ale ręce!... Jerzyk!... A to co? Nie mam serca dla ciebie! nie mam! nie mam!... Dosyć! dosyć! bo hetmanowa idzie!

Jerzyk stanął na równe nogi.

— Dopiero strach opamiętał ciebie!... Słuchaj, Jerzyk — tak nie może być, bo doprawdy, że na ciebie nie spojrzę, a mnie żal ciebie! — mówiła Halszka. — Gdyby nie smutki, które i ja noszę na sercu, gniewałabym się — doprawdy, że gniewałabym się, ale tak — nie mogę. Jerzyk, daj słowo, że tego nie będzie już.

— Słowo chłopskie... — wyszeptał.

— Nie gadaj tak!... Przed Bogiem wszyscy równi.

— A na ziemi — krzywi wszyscy!...

— Widzisz, że przyszłam do ciebie z pocieszeniem.

— Dobrzy wy jesteście i nie gniewacie się i pozwalacie jeszcze mi mówić do siebie — a jam się zapomniał tak!... Dziękuję wam za wszystko i za serce, coście mi dali, choć ja... nie takiego chciał serca...

Halszka wpatrzyła się w Jerzyka. On się ukłonił nisko, nisko — i powoli zniknął w cieniach murów zamkowych.

A Halszka jeszcze stała i jeszcze patrzyła, jakby ją olśniła jasność jakaś, której dotąd dopatrzeć nie mogła. Na chwilę zatrzymało się serce, na czoło wystąpił mróz, a później płomienie na twarz uderzyły. Dopiero teraz zrozumiała znaczenie pocałunków, jakiemi ją obsypywał Jerzyk, ale gniew oburzenia nie powstał w jej sercu. Winy nie było jej — ni jego. On miłował — i ona miłowała! I myśl jej pobiegła przez równiny i stepy, do onych Pól Dzikich, które w tej chwili wypełnia może gwar boju, krzyk śmierci i lament odlatujących dusz.

Splotła ręce, które do kolan osunęły się, oparła plecyma o mur zamkowy i folgę dała łzom, które z oczu jej spadać zaczęły, jak perły z rozerwanego różańca.

Nagle dobiegło jej wołanie Marychny:

— Halszko! Halszko!...

Otarła szybko oczy i szła na głos przez mury zamkowe powtarzany kilkakrotnie.

Daniłłowiczówna ją spostrzegła i zbiegła ku niej szybko ze schodów.

— Już! — zawołała, przypadając do Halszki i całując ją jak szalona.

— Co już? — spytała Halszka.

— Koniecpolski mój jest.

Halszka ucałowała ją szczerze.

— Tak będzie i z tobą, zobaczysz! — rzekła Marychna.

Halszka poruszyła głową.

— Przepowiedziałam sobie krzyżowe dni — szepnęła.

Marychna westchnęła.

— A ze mną jak było? — odezwała się. — Lamentowałam, aż wylamentowałam się, jak powiada Supronicz...

Tu uderzyła się w usta — i obie roześmiały się.

Nagle umilkły.

Cicho, daleko — z za lasów, z za jarów, odezwał się przesmutny głos fujarki Jerzyka.

— Ty nie wiesz nic — nic — nic... — szepnęła Halszka.

VII.

Od dni kilku Jerzyk nie pokazywał się na zamku, nawet nie słychać było głosu jego fujarki, której dźwięk w ciszy nocnej, wśród jarów i skał się rozchodził, przez staw biegł i dźwiękiem sennym ocierał się o mury zamczyska. Co wieczór panie i panny siadywały na wirydarzu, lecz jakieś zamyślone, jakby im brakowało czegoś. Pojawiał się i pan komendant, ale chmurny był, bo czuł, że z jego to winy ta cisza i posępność, jaka wśród zgromadzenia zapanowała, szczególnie od chwili, gdy pan Stefan Koniecpolski otrzymawszy przyrzeczenie Daniłłowiczowej i upewniwszy się o afekcie Marychny, Żółkiew opuścił. Jeden tylko Jasinowski humoru nabrał i towarzystwo rozruszać chciał, lecz wszystkie próby jego, skierowane ku temu nie udawały się, a Tosieńka narzekała na głos na nieobecność Jerzyka. Najwięcej jednak dręczyło komendanta milczenie hetmanowej. Ta pani musiała mieć cichy żal do niego, lecz trudno było jej z żalem tym wystąpić. Mówić mu, że źle zrobił, to jedno coby rzec: „Przeproś waść!“ A czy mógł on, Bekas, komendant zamku żółkiewskiego, mający na barkach swoich powagę lat ośmdziesięciu, przepraszać gołowąsego smyka i to nie szlacheckiego pochodzenia nawet?... Czuł dobrze, że pomimo żalu, jaki ku niemu jaśnie wielmożna hetmanowa mieć mogła, takiego upokorzenia od niegoby nie żądała. A jednak milczenie jej, to niewspominanie o Jerzyku, niemą wymówką

było i okrutnem pana Baltazara strapieniem. Czuł, że coś trzebaby zrobić, ale co — sam nie wiedział. Gdyby Jerzyk pojawił się, to łatwo nieporozumienie to naprawićby się dało. Pan Bekas pierwszy przystąpiłby do niego, za ucho wziął i rzekłby delikatnie:

— No, no — nie krzyw się tam na starego, durniu jeden! Nie takim, jak ty, od chamów wymyślałem, a nie wymawiali mi swojej *amicitii*. Staremu wolno bzyknąć, a łykom podobnym do ciebie nie marszczyć się na to. Zgoda więc między nami, durniu — i już!

Ale Jerzyka nie było.

Chodził więc Bekas jak struty i ot, co wykombinował.

— Panie Jasinowski — mrugnął pewnego wieczora na pana Symforjana. — Mam do waćpana suplikację.

— Jaką, proszę.

— Hetmanowa nie mówi nic, lecz do mnie ansę czuje.

— O tego trubadura?

— Zgadłeś waszmość.

— Więc co?

— Waszmość mi wspominałeś, żeś chciał Swinczańską poznać i o coś ją popytać. Okazja się nadarza.

— Jaka okazja?...

— Szepnij, waść hetmanowej, że pójdziesz tam, by się coś o tym smyku dowiedzieć i na dwór go sprowadzić.

Jasinowski pomyślał chwilę.

— A może waćpan słuszność masz — odpowiedział. — Ja widzę sam, że hetmanowa niespokojna o tę kukłę. Powiem — rada będzie i waćpana z ambarasu wybawię.

Jasinowski uchwycił się tej myśli.

— Hetmanowej powiem, że do Swinczańskiej pójdę, o Jerzyka się dowiem, czy żyw, ale że go nie sprowadzę, to pewne, jak amen w pacierzu — myślał sobie w duchu.

Hetmanowa z zadowoleniem przyjęła usługę Jasinowskiego. Niespokojną była o Jerzyka i już księdza Obucha prosić miała, by szedł na zwiady, gdy Jasinowski jej się nastręczył.

— Idź waćpan i powiedz, niech przyjdzie, a ja już z imćpanem Bekasem radę dam.

To: niech przyjdzie — niezupełnie podobało się Jasinowskiemu, ale czy pierwej, czy później nastąpićby musiało. Ważniejsza rzecz bajarkę o Plichtę się rozpytać, chłopski syn niebardzo go niepokoił.

Pewnego tedy wieczora, obuszek do ręki wziąwszy, straży się opowiedział, minął zamkowe wały, przeszedł most i gościńcem skierował się do niedalekiego jaru, w którym przyparta do skały, oblana światłem miesięcznem, bielała chata Sonki Swinczańskiej.

Przechodząc wpoprzek gościniec, zauważył w oddaleniu pewnem karocę stojącą, w cztery zaprzężoną rumaki. Zatrzymał się chwilę, spojrzał, chciał podejść, ale dostrzegłszy trzech hajduków na koźle siedzących, których wysokie czapy rysowały się na tle nieba — zawahał się; wreszcie zwyciężyła tchórzliwa natura Jasinowskiego, kroku przyspieszył, dopadł ścieżki wąskiej, która pomiędzy jałowce i złomy skaliste płynąc, doprowadziła go do chaty Swinczańskiej.

Drzwi były zamknięte, przez serca wycięte w okiennicach czerwone migało światło, na kamieniu przed wejściem siedział Jerzyk i patrzył w księżyc. Ujrzawszy Jasinowskiego, wstał i w drzwiach stanął, jakby chciał sobą wejście zatamować.

— Dobry wieczór, chłopcze!

— Dobry wieczór! — odpowiedział Jerzyk.

— Hetmanowa pyta o ciebie i radaby już cię widzieć.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Lirnik.



Lirnik! Dziś nazwa ta jest u nas prawie nieznana. Zmieniają się czasy, zmieniają ludzie, a wraz z nimi przychodzą inne zwyczaje i obyczaje. A przecież w dawnej Polsce takich lirników, jakiego widzimy na naszym obrazku, było bardzo wielu. Rekrutowali oni się z pośród rozmaitych warstw społeczeństwa. Byli między nimi biedni wieśniacy, trzymający się zawodu żebraczego niemal z dziada, pradziada, ale byli też i ludzie wykolejeni materjalnie, którzy zaznawszy w młodości wygód i dostatku, z czasem podupadali i szukali na starość łaskawego chleba. Ale lirnikiem nie każdy mógł być. I do zawodu dziadowskiego trzeba było choć trochę talentu. Dziad-lirnik bez talentu przepadał w szarym tłumie i nie zdołał wyrobić sobie wzięcia i uznania. Dziad-lirnik musiał posiadać i słuch muzykalny, i jaki taki głos, a przedewszystkiem pewien talent poetycki. Bo nie dość było zagrać jakąś piosnkę na lirze, nie dość było ją mniej lub więcej dobrze zaśpiewać, ale najczęściej pieśń tę trzeba było samemu zaimprowizować. Kiedy bowiem taki lirnik przyszedł na dwór pański i nucił jakieś pieśni obce, nie dotyczące rodu owego pana, to po największej części odchodził z niczem, albo prawie z niczem. Ale gdy taki

lirnik zaczął w pieśni swojej wysławiać zasługi owego pana, lub jego przodków, gdy zaczął wyśpiewywać pieśni pełne pochwał dla danego rodu, to po kilkakroć razy w dniu musiał popuszczać pasa, a odchodząc w dalszą drogę, zabierał z sobą jedną i drugą kieskę złota. Aby zaś komponować potrzebne pieśni, trzeba było nietylko posiadać choć iskrę talentu poetyckiego, ale ponadto trzeba było znać historję danego rodu, a ponieważ historja ta siłą rzeczy była związana ściśle z historją całego narodu, więc też lirnicy byli doskonałymi znawcami tej historji. Nie przeszkadzało im to jednak, że tę historję w niejednem miejscu przeinaczali i upiększali na korzyść owego rodu, na cześć którego pieśni swe układali. I zdarzało się tak, że im więcej było pochlebnych kłamstw w śpiewanej pieśni, tem większą otrzymywali nagrodę.

Na obrazku naszym widzimy takiego dziada-lirnika. Nie ma on jednak uherbowanych słuchaczy, nie ma tłumów ludzi przy sobie, ale w pobliżu wiejskiego kościółka śpiewu jego słucha dwoje dzieci, które zbyt mało na piękności pieśni się rozumią i żadnej nagrody za śpiew dać mu nie mogą. Zdaje się, że jest to już taki wybrakowany lirnik, który stracił swą sławę wśród możnych, a jeno z potrzeby serca śpiewa dla maluczkich.

Rankiem.

(Obrazek ze Śląska).

Fioletowe cienie jesiennej, chłodnej nocy rozproszyły się zwolna pod naporem promieni słonecznych i cichy poranek zaświtał nad wioską. Z nad dalekich łąk wlokła się leniwie szara mgła, rozpraszana często przez lekkie podmuchy wiatru, a sosnowy bór, co se tak cichutko tuż w dolinie przycupnął, spoglądał swym górnym wzrokiem w jasny błękit nieba, szepcąc w rozmarzeniu ranne pacierze.

Stary gospodarz, Kuchejda, wyszedł ze swej chaty, aby przed pracą, jaka go czekała, odetchnąć nieco świeżem powietrzem.

Hej, jakże ci się mu błogo na duszy uczyniło, skoro tylko objął swym wzrokiem ten Boży świat. Tam, za Stokłosową górką, co ją tak ślicznie promienie wschodzącego słońca ozłociły, wlokła się cichutko ponad czarną ziemią ciężka mgła, — to podnosząc się zwolna ku niebu błękitnemu, to znowu opadając na czarne skiby rozległych pól. A od strony ciemnego boru zrywały się czasem tęskliwe głosy leśnych ptaków, ale tak ciche i melancholijne jak ten nastrój jesieni, która wysyłała coraz silniejsze tchnienia na łono natury. Już też potężne buki, które jak strażnicy stały na krańcu boru i twarde piersi przeciwko chłodnym wichrom wysuwały, traciły coraz bardziej delikatne listki, które z cichym szelestem staczały się na czarną ziemię, gdzie zawisały na srebrnych nitkach pajęczych.

„Jesień! — jesień!" — Stary Kuchejda stał twardo na swej rodzicielskiej ziemi i w błogiem upojeniu patrzył gdzieś w bezkresną dal.

Powoli do uszu jego doleciały ciche jęki dzwonów, wzywających na „Anioł Pański". Przeżegnał się nabożnie, a z ust wypłynęły słowa cichej modlitwy.

A dzwony grały coraz potężniej, a jęk ich płynął przez pola, pomarszczone czarnemi skibami i ginął gdzieś daleko, za mgłami szaremi.

Wreszcie umilkło dzwonów granie, a ostatni jęk rozpłynął się jeszcze daleko, szeroko i skonał... Kuchejda skończył modlitwę. Stał jeszcze zapatrzony w jasny błękit nieba, a z błogiej zadumy zbudził go dopiero podniosły śpiew, wypływający z poza ciemnego lasu: „Za gorami torka, torka — niezdrzało je, niezdrzało je, — A ta Stokłosowa Hanka, Hanka, — ospało je, ospało je!"

To Janek, 7-letni syn Kuchejdy, pasł sobie za lasem krówkę i podśpiewywał wesoło.

„Hej!" — uśmiechnął się Kuchejda. — Śpiejwo se to nieboroczek, śpiejwo, — ani tyn ptoszek w przestworzu". — A Janek śpiewał dalej, a jego dziecinny głos łączył się z lekkim podmuchem wiatru i płynął ku dumnemu boru, odbijając się tu kilkakrotnem echem o potężne pnie, — aż ginął wreszcie w głębokich, leśnych dołach.

Lecz... nagle... umilkł niewinny śpiew pastuszka, a do uszu Kuchejdy doleciały jakieś grube, ostre krzyki, z pośród których wydobywał się czasem jęk: „Tato! tato!..." — Szarpnął się Kuchejda, jakby go kto nożem pchnął.

„Dziecko!" — krzyknął rozpaczliwie — i rzucił się w kierunku jęków.

Tuż za lasem uderzył go niezwykły widok. Oto jego sąsiad Paweł okładał grubym kijem szlochającego jednostajnie Janka, który wyciągał rozpaczliwie drobne ręce i wołał pomocy. Opodal pasła się w „ścierniówce" sąsiada krowa, której pastuszek przez nieostrożność niedopilnował. Kuchejda pojął wszystko dokładnie i dreszcz oburzenia wstrząsnął jego ciałem. W kilku susach poskoczył do sąsiada i szarpnął go gwałtownie za ramię.

„Poco mi ty dziecko bijesz?!" — ryknął tak straszliwie, że echo jak grom pobiegło po lesie. I miłość ojcowska i ten ogrom przerażenia jakiego doznał przed chwilą, to wszystko zlało się w jedno nieprzeparte uczucie nienawiści, która przerodziła się w straszną chęć corychlejszej zemsty, że rzucił się jak tur na sąsiada i porwał go za gardło.

Pawłowi wyszły na wierzch oczy, — nienawistne... straszne. Przez chwilę wpatrywał się w swego przeciwnika, jak jadowity wąż w swą ofiarę, lecz nagle... jednem nadludzkiem szarpnięciem wyrwał się z żelaznego uścisku i odskoczył wtył. Straszny był. Piana zawisła mu na wargach, rozchylone usta drgały kurczowo, przez chwilę stał na miejscu straszny, z błędnemi błyskawicami w oczach, lecz nagle jak piorun runął na Kuchejdę, chcąc krwawo pomścić się za jego nagły napad. Zwarli się znowu jak dwa rozjuszone dziki, które sobie stanęły na przeszkodzie. Krew uderzyła im do twarzy, śmiertelny pot wystąpił na ich czoła, a napięte mięśnie wskazywały, że toczy się walka straszna, na śmierć i życie.

Nagle rozległ się suchy trzask łamanych kości, nagły strumień gorącej krwi oblał zieloną murawę, — Kuchejda z jękiem zwalił się na ziemię.

„Tato! tato!" — krzyknął rozpaczliwie chłopak, który coledwo ochłonął z pierwszego przerażenia, i runął na piersi ojcowskie.

Zapadła cisza, jeno jesienny wiatr huczał żałośnie w wierzchołkach drzew, czasem jakiś zbłąkany ptaszek zakwilił gdzieś nad potokiem, co swe wieczne szeptał skargi... — lecz niebawem wszystko ucichło.

— — — — — — — — — — — — — —

A na zielonej murawie, wśród drobnych, śnieżnych stokrótek leżało zimne już ciało Kuchejdy.

Franciszek Gabzdyl

Do roboty na bujne łany i niwy.



Wiosenne promienie słońca budzą do życia nietylko kwiaty i drzewa, nietylko owady, płazy i inne żyjątka, ale budzą również z zimowego odrętwienia króla wszechstworzeń: człowieka. Kiedy skowronek, wzniesiony pod błękity, zanuci pieśń radosną o wiośnie, kiedy na kalenicy zaklekoce bocian, kiedy w blaskach wiosennego słońca rozigra się rój pszczółek i motyli, kiedy z pod ziemi wystrzeli jedna i druga trawka, kiedy na drzewach zaczną pękać pączki i ustrajać je zielenią, to i w człowieka wstępuje jakiś nowy duch, jakieś nowe życie i trzeba już istoty chorej na straszne lenistwo, któraby się wraz z całem stworzeniem nie rwała do nowego życia, do nowej pracy.

Toteż z chwilą przebudzenia się wiosny wszystko, co żyje, rwie się do nowych czynów, do czynów, związanych z tą naszą ziemią-żywicielką. A więc gromady wieśniaków wyciągają na pola, płużą pługami tę naszą ziemię czarną, rzucają w nią ziarno, aby z latem wydało plon obfity, sadzą w nią ziemniaki, aby tam rozrosły się i zapewniły nam pożywienie na całą zimę. Roją się pola od pracowitego ludu, który niepomny na znój i trud wykonuje swą ciężką pracę ochoczo, gdyż wie, że opłaci ona mu się sowicie. Słychać wesoły gwar, słychać miłe przyśpiewki, a żarty i dowcipy uprzyjemniają trudy i mozoły.

Na obrazku naszym widzimy taką rozweseloną rodzinę wieśniaczą, podążającą do żmudnej pracy. Idzie ojciec z grabkami i łopatą, idą dwie jego dorodne córy, niosąc zarazem w koszyczku nieco skromnego pożywienia, jedzie na koniu syn-wyrostek, który wziął ze sobą na grzbiet koński najmłodszego potomka rolniczego rodu. Podążają wszyscy do pracy ochotnie, gdyż wiedzą, że tylko praca daje byt i zadowolenie wewnętrzne.

Ale i ci, którzy nie mają szarych niw w swem posiadaniu, ale tylko skromny ogródek przy chacie, nie próżnują czasu wiosny. Nie mogą oni zasiać obszernych łanów wąsatym jęczmieniem, ani owsem, nie mogą zasadzić ich ziemniakami, czy jaką inną rośliną, lecz przynajmniej w swym małym ogródeczku mają możność zrobienia kilku grządeczek, na których w przyszłości zazieleni się soczysta marchew, wyrośnie bujna pietruszka, a może i kapusty jaka taka główka, albo niemniej smaczny ogórek. Grzebie w tej kochanej ziemi małżonka pracownika umysłowego, który gdzieś tam w biurze mozoli się nieraz nad wcale niemądremi księgami, lub jeszcze mniej mądremi rachunkami. A i on, kiedy powróci do domu po ciężkiej pracy umysłowej, z całą przyjemnością ujmuje w dłoń motykę, czy łopatę i kopie w tej ziemi z zapałem, jakby się spodziewał odszukać tam jakie niebywałe skarby.

Ale są i tacy ludzie na świecie, że ani tego małego skrawka ziemi nie mają dla siebie. Mieć go będą dopiero tam, na cmentarzyku, gdzie spoczną snem wiecznym. Lecz i ci z wiosną rwą się do pracy na tej ukochanej ziemi. Nie mają łanów i niw, nie mają nawet ogródków małych, lecz mogą sobie kupić przynajmniej doniczkę glinianą, czy wazonik; mogą sobie kupić za kilkadziesiąt groszy tej naszej czarnej ziemi od ogrodnika, który ją już przedtem uprawił i żyzną uczynił i w tę odrobinę tej ziemi mogą wsadzić kwiatek czy cebulkę, która wprawdzie później nie da pożywienia, ale sprawi dla oka ra-

dość, a dla serca pociechę, że wyrosła dzięki naszym staraniom i pod wpływem naszej pielęgnacji.

I zaiste mało jest ludzi na świecie, którzyby się ze zbudzeniem do życia ziemi naszej karmicielki nie rwali do pracy na niej, do pracy w niej, boć wiemy wszyscy dobrze, że jest ona podstawą naszego bytu, spichrzem naszym i podstawą naszego istnienia. A już mniejsza z tem, czy te ziemie dla naszego użytku krają parowe pługi wielkich posiadaczy ziemskich, czy ją spulchnia pług wieśniaczy, czy skromna motyka jakiegoś inteligenta, lub nawet palce zupełnie bezziemnego człowieka. W każdym razie praca na tej ziemi i w tej ziemi jest jedną z najrozkoszniejszych prac, jakie człek w swem życiu wykonuje.



W Psiej Wólce miska krzesnomatka Październyna, która sama siebie ma prawie za świętą, a której w rzecywistości ani djabły do piekła wziąć nie chcą, coby jem tego piekła nie zapaskudziła. Takich Paździorzyn w całem kraju jest wiele, ale ze ich nie znam, to o nich gadał nie będę, ino o nasej Paździorzynie, bo tę znam dokumentnie. A więc Paździorzyna to jest taka niewiasta, jak zreśtą i wiele inksych bab we wsi, co to nie opuści ani jednej msecki w kościółku, ani jednego kazańka, ani jednych niesporzyków, a w kościele wzdycha i wzdycha, jak miech kowalski, a wele podniesienia krzyzem lezy, jak umarła, bo przecie po tem wzdychaniu musi się nieco zmordowana podrzymać. Ale jak się skońcy nabożeństwo i Paździorzyna wyjdzie z kościółka, to zostawia w niem całą swoją pobozność, a ozorem miele i miele, omawiając winnych i niewinnych, nie zostawiając na nich suchej nitki.

W Wielgi Cwartek wysła Paździorzyna z kościółka po Ciemnej Jutrzni i zacęła okrutecnie odkazywać Judasowi, ze ten drań za głupie trzydzieści śrebników Pana Jezusa zydom sprzedał. Zeby był zażądał choć parę tysiącek, toby to jesce jakosik mozna było zrozumieć, ale za marne trzydzieści, to się jej nijak nie widziało. Ona głupia baba przecie, a jakby tak teraz przysło co do cego, toby takiej rzecy ani za całą stówkę nie ucyniła. Przecie wiadomo, ze zydy mają piniądze, to mogą dać.

Na to jej gadanie zesły się inkse kumoski i pocęły takze na Judasa okrutecnie wyćciwiać i padały, ze Judas był chłop, a przecie wiadomo, ze kuzden chłop, cy miastowy, cy wsiowy, zawse jest chciwsy od baby na piniądze. A Pamulina powiadała nawet, ze jakby ona wtedy na świecie zyła, toby nie strzymała, ale zarnówicą, albo inksem drągiem byłaby Judasa przejechała, zeby mu się i śrybników odniechciało. Chyba, zeby się był z nią podzielił.

Niebardzo mi się zdawało, to gadanie, bo i jakze to ma być, zeby się za Panem Jezusem ujmowały właśnie najgorsiejse baby ze wsi, co to zamiast w kościele pacirze gadać, ino po chłopach ciągiem ocami wodzą i kuzda z nich w świętem miejscu przynajmniej parę razy w myślach grzych niecystości popełni. Ale słuchałem cierpliwie, co tez dalej powiedzą.

Wtedy Krzywonosowa tak prawi:

— Ten Judas to był mierusieńce tak chytry, jak Walek Strącek, ftóry gospodarzowi łońskiego lata po garncu owsa przykradał a do Mendla wynosił na wódkę. Jak se co od tej wódki oscędził, to niósł do jegomości na msę świętą, ochfiarując to na intencję nawrócenia grzyśników. Tem sposobem i jegomość go cenili i Mendel miał w powazaniu.

— Nie gadajcie ta wiele — odwyrkła Paździorzyna, która była Walkowi ciotecna — bo wyście sama łońskiego lata z podwójciego łąki brzemionami siano do swojej chałpy nosili, a nikt wam od Judasów nie odkazuje!

Zapyrzyła się na to Krzywonosowa i juzby była moze Paździorzyną w jadackę lunęła, gdyby w tę babską wojnę nie wdali się byli wójt z Zatraconej Wsi, człek ućciwy, bo ich jesce nigdy na nicem złem siandar nie przyłapał, którzy tak rzekli:

— Dajcie baby pokój i nie wyzywajcie się jaze od Judasów, bo wyście same są gorsiejse od niego. Judas był se to człek nieoświecony i sam nie wiedział, ze Poniezus swoją Boską naukę potwierdzi Zmartwychwstaniem. Gdyby był wiedział, pewnieby był Pana Jezusa nie sprzedawał. Zreśtą, jak poznał, ze źle zrobił, to załował tego i z tej załości sam dobrowolnie się powiesił. Wy wicie, ze Poniezus jest Bogiem, a codziennie Go kilka razy sprzedajecie i jesce się zadna z was ani razu nie powiesiła.

— Hale! — obraziła się Pamulina — kto zaś sprzedaje?

— Kto? — padają wójt. — A wy! Wy sprzedajecie Pana Jezusa przez plotki, przez obmowy, przez bajki! Wy sprzedajecie przez kłamstwa, przez pijatyki i przez wiele inksych rzecy. Azebym kuzdej z osobna ich złości nie pedzioł, to stulcie pyski i bez drogę lepiej se pacirz gadajcie, jak niepotrzebne swary prowadzić.

Zamkły baby jadacki i zrobiło się cicho, a mnie na to powiedzenie wójtowe tak zrobiło się koło pępka miękko, zebym był wójta złapał za nogi i pocałował w garść, takie mi się to prawdziwe zdawało. I zaraz mi się przypomniało, ze ludzie, jak chcą, zeby jakie zwirze było spokojne, to mu tam cosi gdziesi wycinają, a cemu do niktórych nasych bab nie zawołają jakiego miśkarza, aby jem trochę jęzorów poobcinał, coby niemi nie pytlowały, cy trza, cy nie trza. Na świecie byłoby lepiej, bo tak jak jest, jest niedobrze, gdyż prawie kuzda baba cudze złe widzi pod lasem, a swojego zła nie moze uwidzieć pod nosem.



Przedwiośnie.

Czuję cię, idziesz... widzę cię mą duszą
Jak stąpasz cicho po gwiazd kołowrocie.
Widzę, jak łzy się białe pióropuszą,
Jak pola modlą się w twojej pieszczocie.

Jak niesiesz kwiecie, omdlałe od woni,
Jak sypiesz słońcem, by temi ziarnami
Na rolę, i jak piosenkami dzwonisz,
Jak ktoś w kościele, mszalnemi dzwonkami.

Czuję jak stąpasz, cichuśko, nieśmiało,
Widzę cię duszą, jak płyniesz z daleka
Ogarnąć słońcem ziemię naszą całą
I zagrać pacierz szczęścia dla człowieka.

Adolf Fierla.

PODRÓŻ PO DALEKICH KRAJACH.

Brazylja I.



Aleja palmowa w stolicy Brazylji.

Z gorącej Afryki przeniesiemy się teraz na drugą półkulę świata, a mianowicie do umiarkowanej Brazylji, a przeniesiemy się tem chętniej, gdyż w Brazylji mieszka wielu naszych rodaków. Jak wiadomo, Brazylja leży w Południowej Ameryce, w strefie umiarkowanej, ma więc klimat zupełnie podobny do naszego z tą tylko różnicą, że gdy u nas jest lato, to tam zima, gdy u nas wiosna, to tam jesień i odwrotnie.

W starożytności, jak cała Ameryka, tak też i Brazylja była zupełnie nieznana. Dopiero po szczęśliwej wyprawie Krzysztofa Kolumba różni żeglarze puścili się na poszukiwanie nowych lądów, a jeden z nich, Cabral, Portugalczyk, wylądował na odpoczynek w dzisiejszej Brazylji. Cabral zatrzymał się tam kilka dni, a zatknąwszy krzyż na wybrzeżu, nazwał nową ziemię Terra de Santa Cruz (Ziemia św. Krzyża). Nazwa ta atoli niedługo się utrzymała, wkrótce bowiem zmieniono ją powszechnie na miano Brazylji. Niepodobna stanowczo orzec, skąd ostatnia ta nazwa pochodzi. Podług ogólnego mniemania, pomiędzy osobliwościami nowej krainy, najbardziej uderzyło Europejczyków drzewo bao-Brazil, o białej korze a czerwonym rdzeniu, z którego Indjanie jaskrawą wyrabiali farbę. Kolor tej farby podobny był do rozżarzonych węgli, zwanych po hiszpańsku „brazero". Zdawałoby się więc, że od tego słowa powstała również i nazwa Brazylji.

Z początku Portugalczycy niewiele dbali o nową posiadłość i dopiero w drugiej połowie XVII wieku, oraz w pierwszych dziesiątkach XVIII wieku zaczęli budować tam forteczki w celu zabezpieczenia brazylijskiego terytorjum od napaści Hiszpanów, którzy byli już wówczas panami sąsiedniego Paraguaju. Przez czas długi nie było jednak w Brazylji żadnej władzy administracyjnej w ścisłem tego słowa znaczeniu.

Po niezmierzonych, bezludnych obszarach błąkali się tylko tu i ówdzie Gauchosi, to jest metysi, pochodzący ze zmieszania się rasowego Portugalczyków z krajowcami.

Pierwotni mieszkańcy południowej Ameryki różnią się znacznie nawzajem od siebie, stosownie do tego, czy mieszkają w północnej, czy też w południowej części tego olbrzymiego lądu, różnica zaś



Podróż dyliżansem po stepach brazylijskich.

ta nie pozostała bez wpływu na stosunki pomiędzy nimi a europejskimi najeźdźcami.

W północnej części Ameryki Południowej ciągną się lasy i góry, odosobniające człowieka od innych jego braci i czyniące go bojaźliwym, łagodnym, spokojnym, a nawet fizycznie słabszym od sąsiadów, osiadłych w dolinach. Przeciwnie, na południe roztaczają się niezmierzone stepy, które skłaniają ludzi do ugrupowania się razem, w celu udzielenia sobie wzajemnej pomocy i czynią ich bardziej przedsiębiorczymi, odważnymi, zuchwałymi, skłonnymi do stawiania oporu istotnym lub mniemanym nieprzyjaciołom.

Dlatego to Portugalczycy, zaludniając stopniowo podrównikowe wybrzeża Atlantyku, napotkali tam z początku ludność spokojną i łagodną, którą z łatwością zdołali zmusić do posłuszeństwa i pracy. Natomiast dalej na południe napotkali jakby zarodki dzikich wprawdzie, lecz już organizujących się państewek i zetknęli się z ludźmi, którzy bez rozpaczliwego oporu nie myśleli się im poddać. To właśnie powstrzymało europejskich awanturników od zapuszczania się w głąb południowych zakątków Brazylji i to tak radykalnie, że i dziś nawet wnętrze niektórych brazylijskich prowincyj jest zupełnie nieznane, gdyż z obawy dzikich biali nie śmieją się tam zapuszczać. To też zdobywcy oddawna doszli do przekonania, że dzieła ucywilizowania tubylców dokonać mogą tylko misjonarze i w tym celu dla Brazylji starali się pozyskać kapłanów. Kilka zakonów uczyniło zadość temu słusznemu życzeniu, wysyłając tam swych członków, którzy rzeczywiście bardzo wiele dla cywilizacji zdziałali.

Nim przejdziemy do dalszego opisu Brazylji i rzeczy godnych tam widzenia, podajemy dzisiaj dwa obrazki z tej dalekiej krainy. Na pierwszym z nich widzimy aleję palmową w ogrodzie botanicznym stolicy Brazylji Rio-Janeiro, według fotografji Witolda hr. Skórzewskiego, a na drugim widok stepów brazylijskich z przejeżdżającym przez nie dyliżansem. Po wyniosłych palmach pierwszego obrazka możemy się przekonać, że klimat tam, aczkolwiek umiarkowany, to przecież cieplejszy, aniżeli u nas, raczej zbliżony do klimatu włoskiego. Świadczy o tem i drugi obrazek, na którym widać step, pokryty bujną roślinnością.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Na bezludnej wyspie.

Powieść awanturnicza.

ROZDZIAŁ XV.

Przyszłość przedstawiała się zatem w barwach mniej posępnych. Rychło ułożono garderobę, zabraną z kufra, policzono ją i uporządkowano. Było jej sporo, niemniej licząc się z niepewnem jutrem, Godfrey postanowił, by w dalszym ciągu ograniczać się w miarę możności.

Profesor niezadowolony z tego zarządzenia, dąsał się, pytając:

— Ależ poco takie oszczędności, graniczące już ze skąpstwem? Dlaczego mamy sobie odmawiać przyjemności ubierania się jak ludzie cywilizowani? Przecież nie jesteśmy dzikimi!

— Wybaczy pan — odparł Godfrey — ale mojem zdaniem jesteśmy na razie w położeniu ludzi dzikich, więc musimy też żyć odpowiednio.

Rozumie się, że od przybycia na wyspę, Godfrey zaznaczał sobie w pamięci każdy dzień, wobec czego przy pomocy kalendarza, znalezionego w kufrze, łatwo mógł stwierdzić, że był poniedziałek.

Z biegiem czasu mężczyźni, stosownie do swego uzdolnienia, przeprowadzili dokładny podział pracy. Czuwanie nad ogniem dniem i nocą, stało się teraz zbytecznem, gdyż oprócz prochu, znaleźli w kufrze mnóstwo innych środków do rozniecania ognia. Tartelett mógł się więc wyrzec tego zajęcia. W zakres jego prac wchodziło zbieranie ostryg i innych mięczaków, spożywanych w ogromnych ilościach.

Godfrey natomiast miał czuwać nad zwierzętami domowemi i drobiem. Jedynie obowiązek rzeźnika pełnił bardzo niechętnie, ale konieczność kazała przezwyciężyć wstręt wrodzony. Tak więc niemal każdego dnia jadali mięso, a często też ryby i dziczyzna pojawiały się na stole, urozmaicając jadłospis rozbitków. Dziczyzny było w gąszczach wyspy Finy podostatkiem, a Godfrey nie miał zamiaru skazywać swej broni na rdzewienie i postanawiał zabrać się do polowania, skoro tylko pozbędzie się zajęć pilniejszych. Nie, ani strzelby u niego nie zardzewieją, ani naboje nie zapleśnieją — wpierw jednak musi urządzić domostwo możliwie najwygodniej.

Mając teraz narzędzia, sporządził kilka ław, które ustawił nietylko we wnętrzu drzewa, lecz także dokoła niego, na powietrzu. Heblem wygładził stół, by niezbyt od niego odbijały pięknym swym wyglądem talerze i nakrycia, z lubością ustawiane przez profesora. Niebawem stanęły też w mieszkaniu dwa drewniane łóżka wyrobu Godfreya, które wyłożone sianem i nakryte kocami, robiły wrażenie całkiem przyzwoite. Naczynia kuchenne umieszczono na półkach z desek, przytwierdzonych do ścian, a w nyżach, wydrążonych w potwornie grubej korze drzewa, zawieszono odzież. Nyże zamknięto na drzwi, które im nadawały wygląd szaf. Słupy, przyozdobione rozmaitą bronią, przypominały małą zbrojownię i wielce się przyczyniały do upiększenia domostwa.

Dalszą troską Godfreya było urządzenie kuchni we wnętrzu drzewa, co wymagało przedewszystkiem sporządzenia komina. Dopóki ciepło, można gotować przy ognisku, rozpalanem na wolnem powietrzu, ale z chwilą nastania słot jesiennych okaże się to niemożliwem. Przytem należało przypuszczać, że z nastaniem zimnej pory trzeba też będzie opalać domostwo, a do tego konieczny był komin, którymby odchodził dym. Godfrey często rozmyślał, jak zadanie to rozwiąże i układał plany, podług których zamierzał zabrać się do roboty.

Tymczasem dokonał pracy bardzo użytecznej: połączył mianowicie obydwa brzegi strumienia mostkami, co mu zaoszczędzało dwumilowej drogi okrężnej, wiodącej na wybrzeże północne. Była to praca ciężka, gdyż najpierw musiał z grubych pali urządzić tamy, zwalniające wartki bieg wody, a na nich dopiero umieścił belki, które służyły zamiast kładek.

Czyniąc jednak wszystko, co było w jego mocy celem uprzyjemnienia pobytu na wyspie nawet przez całe życie, Godfrey nie zaniedbywał też niczego, co przedstawiało jakiekolwiek widoki wydostania się z tego pustkowia.

Wyspa Fina leżała poza linją ruchu okrętowego — było to rzeczą jasną, nie ulegającą żadnej wątpliwości. Bo i pocóż miałyby tu okręty zarzucać

kotwicę? Wyspa nie była portem, a tak samo nie mogła też dostarczać żadnej aprowizacji. Nie było jednak wykluczonem, że w pewnej odległości mogą przejeżdżać okręty handlowe czy wojenne. Chodziło więc Godfreyowi o wymyślenie sposobu, któryby mu umożliwił zwrócenie uwagi takiego okrętu, że na wyspie tej są ludzie.

W tym celu Godfrey ustawił na najwyższym wierzchołku skał wysoki maszt, na którym zatknął chorągiew.

Do 15 sierpnia zajęty był najrozmaitszemi temi robotami: Przez cały czas pogoda stale sprzyjała rozbitkom, pomijając kilka gwałtownych burz, które odświeżyły tylko powietrze i ziemię, okrywającą się coraz to nową zielenią.

Teraz Godfrey zabrał się do polowania. Kilka dni tygodnia poświęcał tedy Godfrey polowaniu na drobną zwierzynę i ptactwo, a Tartelett z niezmierną radością witał zawsze młodego strzelca, niosącego kilka ubitych bekasów, dzikich gołębi czy kuropatw. Z niemniejszym też apetytem spożywał czcigodny profesor combry i uda antylop, starając się możliwie najlepiej przyrządzić tak ptaki, jak zwierzynę, które nie z jego winy postradały życie.

Na urządzaniu domu i polowaniach upłynęło dalszych kilka tygodni. Każdy dzień przynosił jakąś zmianę na lepsze w trybie życia rozbitków. Każdej niedzieli Tartelett, trzymając się układu, wyjmował z nyży najpiękniejszy garnitur i robił wielką toaletę.

Dnia 13 września Godfrey miał przeżyć jedno z najboleśniejszych rozczarowań, jakie kiedykolwiek były udziałem nieszczęsnych rozbitków.

Od dłuższego czasu nie widział był smugi dymu, którą przyzwyczaił się już był uważać za dwukrotne złudzenie optyczne. Aż tu owego dnia, około godziny trzeciej po południu, znów ujrzał wznoszący się słup dymu, którego pochodzenie miał niebawem poznać. Doszedłszy do „Wzgórza sztandarowego", które tak był nazwał od zatkniętej na jego szczycie chorągwi, co szybciej wdrapał się na wierzchołek i z lunetą w ręku rozglądał się po morzu. Niebawem ujrzał na nieboskłonie smugę dymu, którą wiatr pędził w kierunku wyspy.

Serce Godfreya waliło jak młot.

— Statek! — wyrwało mu się z gardła.

Czy jednak statek ten podpłynie ku wyspie, czy dostrzeże sygnały z wybrzeża, czy też oddali się w kierunku północno- lub południowo-zachodnim?

Przez dwie godziny był łupem najsprzeczniejszych uczuć, od nadziei, graniczącej ze zwycięską pewnością, przechodząc do najczarniejszego zwątpienia.

Nie. Dym staje się coraz wyraźniejszy i widocznem jest, że statek podpływa ku wyspie. W pewnej chwili, kadłub jego wyraźnie się zarysował na linji nieboskłonu.

Był to wielki parowiec, zmierzający w kierunku północno-wschodnim. Jeśli nie zmieni kursu, to w niedługim czasie musi przepłynąć w pobliżu wyspy.

W pierwszej chwili Godfrey chciał biec do domostwa i zawiadomić o tem Tarteletta. Na co się to jednak przyda? Czy jeden, czy dwóch ludzi daje sygnały, to chyba nie stanowi żadnej różnicy! To też po chwili namysłu, porzucił pierwotny plan i z lunetą przy oczach śledził z natężoną uwagą sylwetę okrętu.

Parowiec wciąż jeszcze podpływał ku wyspie, aczkolwiek widać było, że nie ona jest celem jego podróży. Po godzinie piątej można już było wyraźnie rozróżnić trzy maszty, a niebawem też ujrzał Godfrey przez lunetę, że nad statkiem powiewa sztandar o barwach amerykańskich.

Serce łopotało mu w piersiach, jak ptak schwytany.

— Skoro ja widzę stąd flagę statku, to niepodobna przecież, by oni nie widzieli mojej, zatkniętej tak wysoko! — rozumował. — Wiatr rozwiewa ją tak szeroko, że muszą ją zauważyć. Czy może lepiej będzie, gdy zacznę nią dawać sygnały, spuszczając ją i podnosząc naprzemian? Powinni się wszak domyśleć, że w ten sposób daję im znać, iż pragnę się z nimi porozumieć. Tak! Stanowczo, tak będzie najlepiej! Niema chwili czasu do stracenia!



Godfrey podnosił i zniżał chorągiew.

Należy przyznać, że pomysł był dobry. Wspiąwszy się na sam wierzchołek, Godfrey zaczął chorągiew pochylać, to znów podnosić, jak to się zwykle czyni, gdy statek pragnie się porozumieć z drugim. Następnie trzymał ją na wietrze w kierunku poziomym, co oznacza prośbę o pomoc.

Parowiec podpłynął bliżej, że najwyżej trzy mile dzieliły go od wyspy, ale flaga jego, zatknięta u masztu, nie odpowiadała na sygnały z wyspy... Godfrey czuł, że serce kurczy mu się z bolu. Oczywista, nie zauważono jego sygnałów, dawanych od półtorej godziny!... Za chwilę zapadnie mrok, a z nim zniknie też wszelka nadzieja porozumienia się z parowcem! Już tylko co najwyżej dwie mile dzielić go mogły od wybrzeża... W tejże chwili kula słoneczna stoczyła się w morze. Jeszcze chwila, a cienie nocy przesłonią horyzont... Pierzchnie nadzieja ratunku, pierzchnie raz na zawsze!...

Coraz szybciej, coraz gwałtowniej pochylał teraz i podnosił chorągiew... Napróżno! Nikt ze statku nie odpowiedział...

Wydobył z za pasa rewolwer i kilkakrotnie wystrzelił, jakkolwiek zdawał sobie sprawę, że zbyt wielka jest odległość, by strzał mógł być słyszanym ze statku, zwłaszcza, że wiatr wiał w stronę przeciwną... Cienie nocy szybko zaczęły się osuwać na ziemię i morze... Kadłub okrętu stał się niewidzialnym... Jeszcze parę chwil, a rozpłynie się całkiem w mrocznej oponie...

Nawpół nieprzytomny z rozpaczy, nie wiedząc co uczynić, Godfrey przy pomocy hubki podpalił stos suchych gałęzi, które buchnęły olbrzymim płomieniem... Nie ulega wątpliwości, że ogień ten musiano zauważyć na statku, a mimo to nikt nie odpowiedział na ten sygnał alarmowy... Smutniejszy i bardziej zgnębiony, niż kiedykolwiek, Godfrey ruszył z powrotem do drzewa Wilhelma.

(Ciąg dalszy nastąpi).



K. WEISS.

O panu podskarbim i o żydzie Marku.

(„Kozia historja").

Przed dawnemi laty żył w małem, ładnem miasteczku, ukrytem w lasach krzywoklackich *) pan podskarbi. Był to filglarz wielki; wprost tryskał humorem, a w dowcipach swych i żartach nie szczędził nikogo. To też liczni znajomi bali się go jak ognia. Jego ulubionym i najczęstszym kozłem ofiarnym był żyd Marek, figurka komiczna, chociaż człowiek dobry i cichy. Ów Marek odczuwał zabobonną trwogę przed panem podskarbim.

Jednego razu kupił sobie Marek we wsi kozę i prowadził ją wieczorem do domu. Wtem na gościńcu tuż przed nim wynurzyła się postać podskarbiego.

— Dobry wieczór! Jak się macie, panie Marek? Ho, ho, kupiliście sobie kozę? No, piękne zwierzę! A ile też daliście za nią?

Żyd szarpnął sobą, jakgdyby bosą nogą stanął na węża i ze strachem odciągał kozę z przed oczu podskarbiego — widział w nich najwyraźniej jakiś djabelski figiel.

— Szykowne zwierzę, jak Boga kocham! — mówił dalej podskarbi. — Ile daliście za nie?

— Bardzo proszę, żeby mi wielmożny pan dali spokój i szli swoją drogą. Ja nie mam z nimi nic do mówienia. Chodź, koza!

— No, no, panie Marek, jakżeż to? Nie powiecie mi? Cóż to za sekreta?

— Ja bardzo proszę, żeby mnie wielmożny pan nie zaczepiali. Nie mam z nimi nic do mówienia. Chodź, koza!

— Dobrze, dobrze, panie Marek, róbcie jak chcecie, ja się i tak dowiem ile daliście za nią.

I nachyliwszy się szybko nad kozą, splunął trzykrotnie tfu, tfu, tfu i rzekł:

— Terazem ją urzekł i do trzech dni wam zdechnie!

Marka o mało szlak nie trafił ze złości. Był bowiem niezmiernie zabobonny i trwożliwy, a jego wiara nie wyklucza takich urzeczeń. Szarpnął za powróz i z lękiem w sercu uciekał do domu, ciągnąc kozę za sobą.

Ale i djabeł lubi figle płatać. Już na drugi dzień padła Markowi koza. Żyd wpadł w wściekłość. Równą drogą pospieszył do sądu obwodowego, do samego naczelnika. Trzęsąc się ze złości, opowiedział panu radcy co go spotkało i prosił, aby mu napisał skargę na podskarbiego.

*) W Czechach.

— Ależ, panie Marku — perswadował mu radca — ta cała historja nie nadaje się do skargi. To był przecież zwykły żart, a że koza wam zdechła, to już czysty zbieg okoliczności. Najprawdopodobniej ze zmęczenia padła; może zaprędko uciekaliście z nią do domu, albo zaciasno miała zawiązany powróz na szyi.

Ale Marek nie dał sobie wyperswadować. Nie, on od skargi nie odstąpi! Zadużo sadła zalał mu podskarbi za skórę, więc mu już tego nie daruje. Widząc, że Marek nie ustąpi, odesłał go pan radca do kancelisty, aby mu napisał skargę.

Za czternaście dni miała się odbyć rozprawa. Zeszła się na nią połowa miasteczka, a ponieważ sala rozpraw mogła pomieścić zaledwie część ciekawych, więc reszta czekała na korytarzu na rozstrzygnięcie procesu.

— Panie podskarbi — zaczął sędzia, z trudem hamując śmiech — ten oto pan Marek wniósł na pana skargę. Może dałoby się całą sprawę załatwić polubownie, bez procesu?

— Ależ, i owszem! Nie mam nic przeciw temu! A czego żąda odemnie pan Marek?

— Ażeby mu pan zapłacił za kozę.

— No, to przecież rozumie się samo przez się! Z ochotą zapłacę, z największą ochotą! A ile żąda pan Marek?

Sędzia zwrócił się do oskarżyciela:

— Panie Marku! Ile naprawdę daliście za tę kozę?

— Dziesięć złotych, i tyle też za nią chcę dostać, ani grajcar więcej...

— Doskonale! Zgoda! Zapłacę z ochotą i to w tej chwili... natychmiast.

W sali nastało poruszenie. Takiej ochoty nikt się nie spodziewał po panu podskarbim, to też wszyscy byli niezmiernie zdumieni.

— Zapłacę panu Markowi poczciwie, aż do ostatniego grajcara — mówił dalej podskarbi, sięgając do kieszeni — choćby i dlatego, że nareszcie dowiedziałem się ile dał za kozę. Gdyby mi to był powiedział odrazu, nie byłaby koza zdechła i obeszłoby się bez całej nieprzyjemności. Tu jest dziesiątka.

I uroczyście położył dziesiątkę na stół; Marek chciwie wyciągnął po nią rękę.

— Powoli, powoli, panie Marek — powstrzymał go podskarbi, odciągając rękę Marka od dziesiątki. — Najpierw musicie cofnąć skargę i zdeklarować się, że nie macie już do mnie żadnej pretensji.

Marek zawahał się. Przez chwilę przemyślał, czy też i w tem nie ukrywa się jakiś djabelski figiel, ale wreszcie rzekł:

— Hol's der Tajskl! — i zgodził się.

Spisano protokół. Marek go podpisał i zaraz łapczywie wyciągnął rękę po dziesiątkę.

— Powoli, powoli, panie Marek — powstrzymał go znów podskarbi — poczekajcie jeszcze małą chwilkę...

I nachyliwszy siz szybko nad dziesiątką zrobił trzykrotnie tfu, tfu, tfu i zawołał:

— Terazem ją urzekł, a jeśli się jej dotkniecie, to do trzech dni...

Marek zbladł. Ze strachu oczy stanęły mu słupem. Wykrzyknął, odskoczył od dziesiątki i nie czekając na to okrutne „paskudne" słowo uciekał ze sądu, jakgdyby go śmierć gnała.

Cała sala zagrzmiała głośnym, długo hamowanym śmiechem. I sławny sąd śmiał się aż do łez, a śmiech ten przedostał się i na korytarze gmachu.

— No, to było po mistrzowsku! Bajecznie! — szeptał podskarbiemu rozbawiony kancelista. — Nikt nie mógł spodziewać się podobnego zakończenia!

Pan podskarbi, wsunąwszy dziesiątkę do kieszeni, powracał zadowolony do domu. Oczy jego uśmiechały się figlarnie; pewnie w myślach układał znów jakieś figle i żarty.

* * *

Ta historja zachowała się do dnia dzisiejszego dzięki kronikarzowi, który ją sumiennie, z całą dokładnością opisał i wciągnął w rejestra. Na pożółkłym papierze widnieje pod nią jego dopisek:

A było to roku pańskiego...
Dnia tego a tego...
Kiedy za szóstaka mógł się człowiek upić
A za dziesięć złotych piękną kozę kupić.

Przetłumaczyła
Julja Dutkowska-Fischerowa.



Poradnik gospodarczy.

Hodowla krzewów owocowych.

Do roślin mało wymagających starań, a przynoszących dużo pożytku należą krzewy owocowe. A, niestety, u nas hodowla ich tak mało jest rozpowszechniona. Wprawdzie tu i ówdzie widzimy krzaczek agrestu lub porzeczek, z pomiędzy pokrzyw i chwastów wyłazi gałązka maliny, ale rosnąc one dziko, służą conajwyżej za siedlisko gąsienic i robactwa, a jeżeli tam kiedyś jakaś jagódka wyrośnie i dojrzeje, to staje się chwilowym przysmakiem dla dzieci. A przecież z krzewów tych możemy mieć wielki pożytek, gdy im tylko nieco starania poświęcimy.

W niektórych okolicach hodowla agrestu i porzeczek, jest dość rozpowszechniona. Widzimy je w ogrodach warzywnych i sadach, wyrastające wzdłuż ścieżek i drożyn ogrodowych, ale o malinach nie można tego powiedzieć. Te można spotkać jedynie na wyrębach leśnych, rosnące dziko, wskutek czego nie przynoszą one takiego pożytku, jakiby przynieść mogły. A przecież maliny są smaczniejsze od agrestu i porzeczek i wymagają od nich mniej pielęgnacji. Sok malinowy, domieszany do wody stanowi znakomity środek orzeźwiający, można go dodawać do wódki, używać do legumin i spożywać, jako owoc deserowy. Krzew malinowy jest najmniej wymagającym co do miejsca i potrzebuje najmniej starania przy hodowli.

Krzewy agrestowe i porzeczkowe, choć niewiele, ale przecież wymagają nieco pielęgnacji, podczas gdy o krzew malinowy nie trzeba się wcale troszczyć. Odmładza się on co roku sam i suche gałązki znikają też same. Kto chce, aby krzewy wyglądały ładnie, może suche pędy i gałązki zebrać w jesieni, nie jest to wielka robota i należy do porządku w ogrodzie. Rozkrzewienie malin nie kosztuje też ani pracy, ani pieniędzy. Jak wiadomo, agrest i porzeczki rozmnażają się w ten sposób, że latorośle odcięte wsadza się w ziemię na dwa palce głęboko-ści. Szczepionka ta wypuszcza korzonki i rozrasta się, ale rozrastanie to idzie powoli, natomiast u malin oddziela się siekierą poszczególne rośliny, które wyrastają kępkami i rozsadza się na wyznaczone miejsce. Mają one korzeni dużo, więc szybko się przyjmują, rozrastają i przychodzą do siły. Zasadzone wcześnie na wiosnę maliny rodzą tego samego roku, natomiast krzewy porzeczek i agrestu owocują dopiero po upływie kilku lat.

Jak wogóle każdej rośliny mamy kilka i kilkanaście gatunków, taksamo jest znaczna ilość odmian malin. Do najdorodniejszych malin należą tak zwane maliny amerykańskie, powstałe ze skrzyżowania malin i jeżyn. Owoc ich jest ciemno-bronzowy, prawie czarny. Zbiór bywa bardzo obfity, a owoce mają zapach bardzo ładny. Rodzą tylko raz do roku.

Drugim polecenia godnym gatunkiem są maliny żółte, które nie zapuszczają korzeni zbyt głęboko w ziemię. Owoc ich jest średniej wielkości.

Dwa razy do roku rodzą maliny Fastholf, rozrastają się bardzo dobrze, co bardzo jest korzystnem dla osiągnięcia licznych latorośli. Krzew wypuszcza pędy na dwa a nawet półtrzecia metra. Maliny te mają duży owoc o bardzo ładnym zapachu.

Maliny nie potrzebują prawie zupełnie nowozu, bo gdy ziemia jest za bardzo znawożona, to rozrastają się silnie, ale nie wydają wcale owocu, lub wydają go zbyt mało. Wprawdzie i one bez zupełnego pożywienia żyćby nie mogły, ale wystarczy tu nieco rozcieńczonej gnojówki, reszty żywności wyszukają sobie swemi licznemi korzeniami. Maliny trzeba tylko na wiosnę starannie obkopać, dlatego też, aby praca ta nie była zbyt trudna, nie trzeba ich nigdy zbyt gęsto sadzić.

Sadząc maliny, trzeba jeden krzew sadzić od drugiego w oddaleniu metra. Najlepiej sadzić maliny wzdłuż płotu, ale tylko jednym rzędem.

Podczas gdy agrest i porzeczki podlegają rozmaitym chorobom, to u malin nie zauważono czegoś podobnego. Nie podlega chorobom ani łodyga, ani owoc maliny.

Jak to już wspomnieliśmy, głównym pożytkiem z malin jest ich sok, tylko że wiele z naszych gospodyń soku tego nie umie sporządzać. Po największej części gotują one maliny, a sok potem wycedzają. Jest to postępowanie błędne. Sok należy wydobywać na drodze zimnej. Trzeba wieczorem włożyć litr świeżo zerwanych malin w miskę, zalać je litrem zimnej wody i dodać zą kilka groszy kwasu winnego. Wszystko razem musi stać przez noc, a więc 12 godzin. Nazajutrz należy zlać wytworzony (nie wyciśnięty) sok na inną miskę. Pozostały owoc można użyć, jako kompot. Odlany sok należy zmieszać z 75 dekagramami miałkiego cukru i po upływie 20 minut można go już zlać do flaszek, których jednak nie należy zakorkowywać, ale tylko zawiązać płócienną szmatką i wstawić do piwnicy. Sok taki można trzymać nawet kilka lat, a jest on smaczny i zdrowy.

Poradnik lekarski.

Nerkowe kamienie. Przyczyny: nadużycie alkoholu, kwaśnego wina, za dużych ilości mięsa, otyłości, podagry, siedzącego życia. Objawy: napady silnych bólów w okolicy nerek, dreszcze, gorączka, póty, niekiedy krew w moczu, drgawki.

Leczenie: Mleko, maślanka, dużo płynów, winogrona, borówki, poziomki, ogórki, sałata. W czasie bólu gorące okłady, kąpiele ze słomy owsianej, ze skrzypu. Pić herbatę z rdestu, jałowcu, skrzypu, tataraku.

KRONIKA.

Od Administracji. Dzisiejszy numer „Roli" posyłamy jeszcze wszystkim Prenumeratorom kwartalnym którzy prenumeratę wpłacili tylko na I-szy kwartał roku bieżącego; następny numer „Roli" otrzymają już tylko ci Prenumeratorzy, którzy na II kwartał prenumeratę odnowili lub odnowią. Prosimy przeto o pośpiech w odnowieniu prenumeraty. „Rolę" i nadal będziemy drukowali bardzo zajmującą z mnóstwem pięknych rycin. Cały rocznik „Roli" zatem będzie cenną księgą, którą i po wielu latach z wielkiem zajęciem można czytać.

Walka z chrabąszczami. Ministerstwo rolnictwa zarządziło, aby w związku z przewidywaną w roku bieżącym masową rójką chrabąszcza majowego zorganizowano powszechną akcję zbierania i niszczenia owadów w okresie ich zlotu. Aby akcji tej zapewnić skuteczną organizację, opracowano specjalny plan niszczenia chrabąszczy. Do akcji tej, zakrojonej na szeroką skalę, zaproszono samorządy powiatowe i szkoły.

Pożar w Niżankowicach. W Niżankowicach, powiatu przemyskiego, wybuchł pożar, który trudno było ugasić z powodu braku wody. Ogień przerzucił się na sąsiednie gospodarstwa i trwał całą noc. W akcji ratunkowej brała również udział straż ogniowa z Przemyśla. Kilka gospodarstw spłonęło doszczętnie. Szkody wynoszą około 100 tysięcy złotych.

Dolary w starej słomie. Ze Lwowa donoszą: Sabina Korngold uprosiła dozorczynię kamienicy, by jej była pomocną przy robieniu porządków przedświątecznych i przy tej sposobności poleciła jej usunąć starą słomę z siennika. Słomę też wyjęto, a dozorca zawiózł ją na plac Targowicy na brzeg rzeki. Nagle jednak czarna rozpacz ogarnęła p. Sabinę, która zaczęła załamywać ręce i lamentować. Przypomniała sobie bowiem, że w tym właśnie sienniku głęboko w słomie miała ukrytą starą, wielką torebkę damską, a w niej gotówkę w kwocie 380 zł. i 14 dolarów, książeczkę Kasy oszczędności na 350 dolarów, weksel na 500 zł. i kilka innych weksli oraz dokumenty osobiste. W odpowiedzi na lamenty Korngoldowej dozorca stwierdził, że nic prócz słomy nie widział. Zdesperowana tak znaczną stratą Korngoldowa złożyła więc w wydziale śledczym zeznanie, prosząc o wdrożenie dochodzeń. Wbrew jednak wszelkim przewidywaniom zjawił się nagle w mieszkaniu poszkodowanej Korngoldowej niejaki p. Jan Tereszkiewicz i zwrócił jej torebkę z całą zawartością. Bezgranicznie uradowanej p. Korngoldowej, która w tak niespodziewany sposób odzyskała swoją stratę, wyjaśnił p. Tereszkiewicz, że torebkę znalazł w słomie, którą zabrał sobie z targowicy do domu. Na podstawie zapisków zaś zorjentował się co do adresu właścicielki. Czy p. Tereszkiewicz otrzymał jakieś znaleźne od p. Korngoldowej, o tem milczy kronika policyjna.

Tragiczny spór mieszkaniowy. Stosunki powojenne i połączony z tem katastrofalny brak mieszkań, stworzyły konflikty między gospodarzami a lokatorami. Na tem tle dochodzi często do scysyj, które nieraz kończą się tragicznie. Podobny też wypadek miał miejsce w Stryju. Właścicielem małego domku przy ul Bożniczej l. 2 jest majster blacharski Leon Weinstock. Lokatorem jego był Chaim Felsen. Zbutwiała podłoga wymagała wstawienia nowej. Uczynił to lokator i rachunek za robotę przedłożył gospodarzowi. Ten wzbraniał się uznać fakt dokonany. Doszło do procesu, który wypadł na korzyść lokatora. Na gospodarza nałożono też obowiązek ponoszenia kosztów procesu. Na tem tle przyszło onegdaj do kłótni między nimi. W pewnym momencie Weinstock, uniesiony gniewem, trącił lokatora. Potrącenie to miało tragiczne następstwa. Felsen zachwiał się i upadł tak nieszczęśliwie, że uderzył głową o stolik. Nastąpiło porażenie mózgu. Mimo natychmiastowej pomocy lekarskiej, nie udało się nieszczęśliwca uratować. Tak więc zatarg mieszkaniowy, nieszczęśliwym zbiegiem okoliczności, zakończył się śmiercią człowieka.

Tragiczny wypadek w Karpatach. W Wielką Sobotę w znanej miejscowości kuracyjnej Sławsko w Karpatach wydarzył się tragiczny wypadek, którego ofiarą padł 24 letni student wyższej szkoły handlu zagranicznego Ludwik Ralski, syn znanego kupca ze Lwowa. Zjeżdżając na nartach z Wysokiego Wirchu koło Sławska, został on porwany i zasypany potężną lawiną śnieżną. Zwłoki odkopano dopiero na drugi dzień. Prasa nadmienia, że tego rodzaju wypadek zasypania lawiną śnieżną jest pierwszy i jedyny, jaki wydarzył się w okolicach Sławska. Towarzysze zmarłego w liczbie 7 zjeżdżali również z Wysokiego Wirchu, jednak nie odnieśli żadnego szwanku.

Nieszczęśliwy wypadek dwóch żołnierzy. Na szosie prowadzącej do Częstochowy, wydarzył się tragiczny, wypadek, którego ofiarą padło dwóch żołnierzy 6 pułku lotniczego, a mianowicie kapral Albin Ostrowski i szeregowiec Tadeusz Krajewski. Obaj żołnierze przed powrotem ze świąt do pułku odbywali przejażdżkę motocyklem. W pewnej chwili motocykl wpadł na słup ochronny, postawiony w poprzek drogi. Obaj żołnierze, rzuceni na ziemię, stracili przytomność. Ostrowski uległ złamaniu obu nóg i ogólnemu potłuczeniu ciała, Krajewski zaś poza dotkliwym wstrząsem nie odniósł cięższych obrażeń. Ciężko rannego Ostrowskiego w stanie groźnym przewieziono do szpitala w Łodzi.

Straszny czyn umysłowo chorej. W Warszawie w mieszkaniu przy ul. Ogrodowej L. 6 niejaka Władysława Klimkowiczowa pod wpływem ataku nerwowego poraniła ciężko siekierą męża Leona, poczem z IV. piętra skoczyła przez okno na ziemię, ponosząc śmierć na miejscu.

Napad wnuka na babkę. Mieszkaniec Włocławka, 17 letni Eugenjusz Skowroński, udał się do swojej babki, Heleny Żołnierkiewiczowej w Dobryniu nad Wisłą, żądając od niej pieniędzy. Kiedy staruszka odmówiła, Skowroński uderzył ją ciężkim młotkiem w tył głowy i ciężko zranił. Następnie zabrał pewną ilość gotówki i uciekł do Włocławka. Tutaj został aresztowany i odesłany na śledztwo do Dobrynia. Stan Żołnierkiewiczowej jest bardzo groźny.

Napad rabunkowy na listonosza. Z Poznania donoszą: Listonosz Jan Łukaszewicz, roznosząc w godzinach rannych pocztę, wszedł do Domu akademickiego przy ul Słowackiego 16, by oddać przesyłki pocztowe. W chwili, gdy znajdował się w klatce schodowej, wchodząc na pierwsze piętro, został napadnięty przez jakichś dwóch rabusiów. Bandyci uderzyli Łukaszewicza jakiemiś ciężarkami po głowie. Zanim oszołomiony Łukaszewicz upadł na ziemię, krzyknął o pomoc, co słysząc bandyci zbiegli, nie zabierając pieniędzy, jakie Łukaszewicz miał przy sobie. Po przyjściu do przytomności listonosz wybiegł na ulicę i narobił alarmu, jednak wszelki pościg był bezskuteczny. Okrwawionego listonosza opatrzył przybyły natychmiast lekarz. Stan jego nie jest niebezpieczny. Napad dokonany w biały dzień w sposób niezwykle zuchwały w klatce schodowej ożywionego Domu akademickiego wywołał wielkie poruszenie.

Straszna śmierć w kopcu ziemniaczanym. Stefan Kołodziej pracował onegdaj w Pleszowicach na

gospodarstwie swego ojca przy przebieraniu i czyszczeniu ziemniaków złożonych w kopcu. Kiedy wynosił stamtąd już ostatni kosz, poruszył widocznie wskutek własnej nieuwagi warstwę zamarzniętej ziemi, która go nagle przygniotło całym swym ciężarem tak, że Kołodziejowi momentalnie buchnęła krew uszami. Ziemia uniemożliwiła mu odwrót z kopca, zamykając zarazem dostęp świeżego powietrza. Nieszczęśliwego wypadku nikt nie zauważył, ani też nie dosłyszano wołania o pomoc, które się wydobywało z kopca. Pozostawiony bez pomocy Kołodziej, którego nieobecność zbyt późno zauważono, poniósł straszną śmierć zasypany ziemią w kopcu ziemniaczanym. Zakrwawione i zniekształcone zwłoki Kołodzieja, który liczył 25 lat, oddano zrozpaczonej rodzinie.

Odznaczenie studenta. Minister spraw wewnętrznych nadał po raz pierwszy medal za ratowanie tonących Witoldowi Rudzińskiemu, uczniowi 8 klasy gimnazjum państwowego im. króla Zygmunta Augusta w Wilnie. Zaszczytne to odznaczenie otrzymał Rudziński za uratowanie kobiety, tonącej w jeziorze Landwarowskiem w dniu 18 sierpnia 1930.

Żywa pochodnia. W Ustroniu, pow. wilejskiego, w czasie zabawy weselnej powstała bójka, przyczem Antoni Trzeciak rzucił płonącą lampę na Józefa Misona. Lampa się rozbiła i rozlała się nafta, przyczem zapaliło się ubranie na Misonie. Doznał on ciężkich poparzeń. Pozatem 3 osoby odniosły rany w bójce.

Straszny czyn szaleńca. Z Wilna donoszą: W pobliżu folwarku Józefów, pow. postawskiego, mieszkaniec tego folwarku Władysław Krystoper, umysłowo chory, napadł na drodze na dwoje dzieci 12-letniego Jakóba i 8-letnią Helenę Breszów, dziewczynkę udusił i w okrutny sposób zamordował jej brata. Przechodzący wkrótce po tym wypadku włościanin zatrzymał szaleńca.

Śmierć na rozprawie sądowej. W sądzie grodzkim w Lachowicach, pow. baranowickiego, toczyła się rozprawa przeciwko 70-letniemu Danielowi Strzelczykowi, oskarżonemu o podstępne przywłaszczenie sobie rzeczy sąsiada. Po zamknięciu przewodu, gdy urzędujący sędzia przystąpił do odczytywania wyroku, oskarżony z nadmiaru wzruszenia stracił nagle przytomność i padł na ziemię. Ogłoszenie wyroku, który, jak się okazało, był uniewinniającym Strzelczyka od zarzucanego mu przestępstwa, musiano przerwać i sędzia wezwał na miejsce wypadku lekarza. Stwierdzono zgon podsądnego, spowodowany atakiem sercowym. Na obecnych podczas rozprawy, a szczególnie na oskarżycielach Strzelczyka śmierć jego w tak niezwykłych okolicznościach wywarła bardzo silne wrażenie.

Ojcobójstwo. W tych dniach w osadzie fabrycznej Ostrówek miał miejsce wypadek ojcobójstwa, mianowicie 20 letni robotnik Ryszard Budny wystrzałem z rewolweru zabił ojca swego Tomasza, poczem usiłował popełnić samobójstwo, czemu przeszkodziło zacięcie się rewolweru. Zabójcę aresztowano. Przeprowadzone dochodzenie ujawniło, że zabity był nałogowym pijakiem i maltretował rodzinę, w obronie której zabójca dokonał tego strasznego czynu.

Polowanie na orangutanga. Z Paryża donoszą: Wielkie zamieszanie wywołał onegdaj przed południem w arystokratycznej dzielnicy Pól Elizejskich widok ogromnego orangutanga, który wyrwawszy się z sąsiadującego z laskiem Bulońskim ogrodu zoologicznego, wtargnął do jednej z will. Wykonywał on karkołomne sztuki na drzewach, otaczających pałacyk. Wystraszona jednak zebraną publicznością, wskoczył przez otwarte okno do salonu, zrywał ze ścian obrazy, draperje, wa lił w fortepian i t. d. Zawołano policję, która starała się go ubezwładnić, jednak bezskutecznie. Puszczono wtedy gazy cuchnące, lecz małpa najspokojniej zapaliła elektryczność. Po paru godzinach bezskutecznych usiłowań orangutanga zastrzelono.

Bohaterstwo sześcioletniego dziecka. Z Paryża donoszą: Karol i Luiza Lenormandowie nie żyli ze sobą dobrze, gdyż on krawiec z zawodu był pracowity i skromny, a ona lekkomyślna i rozrzutna. Ta niezgodność charakterów musiała wreszcie doprowadzić do katastrofy Pewnego dnia oświadczył Karol swej żonie, że postanowił ją opuścić. Dzieci weźmie ze sobą. Luiza, więcej powodowana wściekłością niż rozpaczą, postanowiła odebrać sobie życie. Także ulubieniec ojca, sześcioletni Pawełek, miał z nią umrzeć. Gdy Karol powrócił późnym wieczorem do domu, nie zastał żony i syna. Znalazł natomiast kartkę, w której Luiza uwiadomiła go o swym zamiarze. Biedny człowiek był zupełnie złamany. Nie spodziewał się, żeby jego postanowienie mógło wywołać tak tragiczne następstwa. Luiza zdecydowała się zginąć pod kołami pociągu. Opuściła tedy Paryż, aby na torze kolejowym za miastem zakończyć życie. W ostatniej chwili zdała sobie sprawę, że zbyt kocha Pawełka, ażeby drogie dziecko pozbawić także życia. W ostatniej chwili nakazała tedy chłopczykowi, aby sam wrócił do miasta. Ale dziecko przeczuwało już widocznie, na co się zanosi i nie chciało opuścić matki.



Wtem z hukiem i łoskotem począł się zbliżać pociąg. Luiza chciała teraz rzucić się pod koła lokomotywy, lecz Pawełek ze zdumiewającą siłą odciągnął matkę na bok, grożąc, iż sam położy się na szynach, jeśli matka nie odstąpi od swego zamiaru. Tymczasem pociąg przeleciał tuż koło dwóch zmagających się istot. Luiza, wzruszona do głębi, zrezygnowała ze swego zamiaru i powróciła z dzieckiem do miasta. Tymczasem jednak zrozpaczony mąż uwiadomił o wszystkiem policję, tak, że historja rozeszła się szerokiem echem i żywo jest obecnie omawiana przez gazety francuskie.

Trup dziewczyny w bagnisku. Niewyjaśnioną tajemnicą pozostała dotychczas śmierć 16 letniej Molly Philips, która wydaliła się z domu swej matki w Oxford w Anglji pewnej pięknej niedzieli i więcej nie wróciła. Wszelki ślad po dziewczynie zaginął. Przez szereg tygodni policja piesza i konna oraz wszyscy mieszkańcy okolicznych wiosek przeszukiwali sąsiednie bagna, jednak bez skutku. Dopiero po upływie półtora roku na

tych samych bagnach, tylokrotnie przetrząśniętych, znaleziono przypadkiem szkielet młodej dziewczyny, rozpoznany przez jej matkę po strzępach ubrania i pantofelkach. Sprawa przedstawia się niezwykle tajemniczo, gdyż nie wiadomo, w jaki sposób i w jakim celu szkielet ten po upływie tak długiego czasu został przeniesiony na miejsce, w którem go znaleziono. Nie ulega wątpliwości, że młoda Molly padał ofiarą zbrodni, gdyż bagna w tem miejscu nie są tak głębokie, by zagrażały życiu człowieka. Zresztą nawet, gdyby rzeczywiście znalazła śmierć w trzęsawisku, samo pojawienie się szkieletu jest nierozwiązaną zagadką, która wiele daje do myślenia policji.

Rewolucja na Maderze. Według wiadomości, jakie nadeszły z Lizbony, w Funchalu, stolicy Madery, wybuchł bunt wojskowy, do którego przyłączyła się również i część ludności cywilnej. Nadzwyczajny delegat rządu i gubernator wojskowy zostali aresztowani. Krążownik „Carvalla" odpłynął w kierunku Madery. W ślad za nim udał się parowiec „Pedro Gomez" z transportem wojskowych materjałów wojennych oraz 3 hydroplany. Niezależnie od tego kanonierki stojące na kotwicy na wyspach kanaryjskich mają niezwłocznie udać się na Maderę. Następnego dnia wyruszył przeciwko rewolucjonistom pułk piechoty, pułk strzelców, pułk artylerji i pułk ciężkich karabinów maszynowych. Komendant okręty „Pedro Gomez" otrzymał polecenie bombardowania Funchalu, o ile powstańcy nie poddadzą się.

Podróż w łupinie orzechowej. W przyszłym miesiącu zamierza wyruszyć w podróż naokoło świata znany duński pisarz Kay Elbo, kierując się początkowo do Polinezji, a następnie na wschód przez Kanał Panamski zpowrotem do Kopenhagi. Podróż tę odbędzie śmiały podróżnik na małym jachcie o pojemności zaledwie 20 tonn, zaopatrzonym w 30 konny motor. Okręcik ten zyskał odpowiednią dla swej miniaturowej wielkości nazwę „Łupiny orzechowej". Na jego kilu umieszczono balast, składający się z 10 tysięcy kilogramów ołowiu, aby zabezpieczyć tę „skorupę" od zbyt silnych wstrząsów na falach oceanu. Z Elbo wybiera się w podróż i znany malarz Lassen. Oprócz tego załoga „Łupiny" składać się będzie z kapitana, maszynisty, jednego marynarza i kucharza. Najbardziej oryginalnym szczegółem tej ekspedycji jest ta okoliczność, że każdy, kto zechce śledzić jej losy, może otrzymać za opłatą 2 duńskich koron 10 specjalnie wydawanych po drodze biuletynów z ilustracjami. W tym celu Kay Elbo i jego towarzysz ilustrator zabierają z sobą w podróż niewielką drukarnię. Jak dotychczas 15 tysięcy dzieci zapisało się na ten oryginalny abonament i w ten sposób pokryło już znaczną część kosztów przewidzianych przez tę oryginalną wyprawę. Oprócz tego pewne konsorcjum finansujące to całe przedsięwzięcie, zapłaciło za okręcik 70 tysięcy koron.

Tragedja dzieci. Wstrząsająca tragedja rozegrała się niedawno w samotnem pustkowiu w Colorado (Stany Zjednoczone). Po nauce szkolnej 22 dzieci wsiadło do autobusu, kierowanego przez szofera Karola Millera, aby wrócić do domu. W drodze zaskoczyła jadących olbrzymia śnieżyca. Autobus musiał się zatrzymać w zupełnie odludnem miejscu. Ponieważ dzieciom dawało się we znaki zimno, musiano rozpalić ognisko przy pomocy książek szkolnych. Potem zerwano siedzenia i spalono je. W ciągu nocy jedna z dziewczynek umarła z zimna. Wówczas Karol Miller, który wiózł wśród dzieci również swoją córeczkę, pożegnał się z nią, i powierzył opiekę nad autobusem i dziećmi 13 letniemu chłopakowi, Brondtowi Untiedtowi i udał się na poszukiwanie pomocy. Z wyprawy tej nie powrócił. W krótki czas potem córka jego umarła. Umarł również brat Untiedta. Wówczas dzieci ogarnęła panika i wybiły szyby autobusu. Mały Untiedt rozebrał się niemal do naga, aby ogrzać ciała dwojga najmniejszych dzieci. Wkońcu autobus z napół przemarzniętemi dziećmi znalazł właściciel pewnej farmy i przewiózł dzieci do swojego domu. Wszystkie dzieci znajdują się w groźnym stanie. Mały Untiedt ma odmrożone ręce i nogi. Ciało Karola Millera znaleziono w odległości 5 kilometrów od miejsca tragedji. Szofer zamarzł w drodze, gdy spieszył na poszukiwanie pomocy.

Wąż jako narzędzie mordu. Jak donoszą z Utakamand, dokonał pewien tubylec, służący w bogatym domu angielskim, zamachu morderczego na swoją chlebodawczynię, używając do tego celu jadowitej kobry. Angielka, otworzywszy pewnego dnia jedną z szuflad biurka, ujrzała ku swemu ogromnemu przerażeniu groźną żmiję, która uwolniona ze swego więzienia, zamierzała rzucić się na nią. Jedynie dzięki ogromnej przytomności umysłu, udało się kobiecie uniknąć niebezpieczeństwa przez szybkie zatrzaśnięcie szuflady. Następnie z ogromnemi ostrożnościami otwarto powtórnie szufladę i uśmiercono w niej kobrę. Jak się później okazało, jeden ze służących obsługujących Angielkę chciał ją w ten sposób zabić, ażeby móc obrabować mieszkanie.

Najbrutalniejszy bandyta Brazylji. Matki brazylijskie od lat kilkunastu straszą swe dzieci okropnem nazwiskiem Lampeao. Lampeao to najbrutalniejszy bandyta Brazylji, równie krwawy, jak nieuchwytny. Prawdziwe jego nazwisko brzmi Virgoine Ferreira da Silva. Urodził się w Pernambuco, jako jeden z czterech braci. Gdy miał 14 lat, rozciął brzuch jednemu ze swych towarzyszy, by zobaczyć, co ma we wnętrznościach. W obawie przed konsekwencjami tego okropnego czynu, uciekł i od tej chwili przepadł. Gdy zorganizował bandę, przystali do niego wszyscy trzej bracia jego. Dwóch spotkała okropna śmierć. Antonio został zastrzelony w pościgu a Livina schwytała policja i głowę jego zatknęła na palu, wystawiła na postrach między Tacaratu i Jericato w Pernambuco. Trzeci brat, Ezechiel, wciąż znajduje się w bandzie. Lampeao odznacza się niezwykłym wyglądem. Jest on wytwornym elegantem. Jego ciemna twarz mulata jest zawsze starannie ogolona, czarne włosy lśnią od pomady, zdaleka bije od niego woń perfum; nosi jedwabne koszule, kolorową chustkę na szyji spina brylantem, a palce pokryte ma pierścieniami. Niczem nie przypomina towarzyszów, których „brody długie, kręcone wąsiska, wzrok dziki, suknia plugawa..." Lampeao choruje oddawna na oczy. Pewnego dnia pod grozą rewolweru zmusił lekarza, by mu zbadał oko, poczem wynagrodził go hojnie i zapewnił, że jego banda będzie dbała o to, by w okolicy, w której on praktukuje, nie było konkurencji. Słowa dotrzymał: lekarze, którzy osiadali niedaleko owego okulisty, znikali w sposób tajemniczy. Długa i krwawa jest lista ofiar strasznego bandyty, który często morduje nie dla rabunku, tylko z jakiejś okropnej chorobliwej chęci mordu. Nierzadko przed śmiercią poddaje ofiary torturom. Rozcina im wargi, aby twarz miała śmiejący się wyraz lub też wypala na ciele litery V. S. (Virgoine Silva). Ofiarą jego padają też często zwierzęta: w jednej z farm w Bahii podpalił zamknięte w owczarni i oborze 108 owiec i 3 krowy. Władze brazylijskie postanowiły wreszcie za wszelką cenę położyć koniec rozbestwieniu tego bandyty. Zorganizowano więc ostatnio ekspedycję karną, złożoną z 200 ludzi, samolotów, karabinów maszynowych, aparatów radjowych i t. d. Ekspedycja otrzymała polecenie dostarczenia żywego lub martwego bandyty do Rio de Janeiro. Brazylja wreszcie odetchnie z ulgą.

RZECZY CIEKAWE.

Żałoba w różnych krajach.

Sposoby okazywania smutku i żałoby po śmierci bliskich nam osób, nawet u dzisiejszych tak bardzo postępowych i cywilizowanych ludzi, są właściwie bardzo powierzchowne. Określanie swej żałoby przez noszenie dłuższego lub krótszego czarnego welonu przesyłanie na dowód pamięci i współczucia rodzinie zmarłego, kondolencji pełnej banalnych i utartych frazesów i t. d. są niczem w porównaniu z zwyczajami, panującemi dawniej, np. w Indjach, gdzie żona po śmierci męża musiała dać się z nim spalić na stosie lub żywcem w ziemi pogrzebać. Patagończycy na znak żałoby zadają sobie rany na rękach i nogach. Miejsce, gdzie się ranią, zależne jest od stopnia pokrewieństwa z umarłym. Jedni wypalają sobie blizny, inni obcinają palce od rąk lub nóg. Naprzykład na niektórych wyspach australijskich niewiasty po śmierci panującego obcinają sobie duże palce u nóg. W Afryce członkowie pewnego plemienia po śmierci swych krewnych przez dwa i pół roku smarowali sobie twarze ciastem zmieszanem z węglem. Chińczycy po śmierci bliskich przez tydzień nie siedzą i dla umartwienia się, zamiast pałeczkami, jedzą tylko palcami. Na wyspach południowych żona nosi przez rok na szyi czaszkę swego zmarłego męża. Ainosi przez cały tydzień muszą płakać, więc ażeby im ciekły łzy, smagają się batami. Papuasi na znak żałoby przez cały rok noszą na szyi gruby kawał sznura. Arabki przez 5 miesięcy nie malują swych paznogci, a niektóre szczepy indyjskie malują sobie łzy pod oczyma. Kolor żałoby nie wszędzie bywa czarny. Zulusi na czas żałoby noszą białe turbany. Także w Japonji, Chinach i u niektórych plemion murzyńskich biały kolor oznacza żałobę.

W kraju skorpjonów.

W Kurdystanie, którego głównem miastem jest Diarbekir, miasto czarnych murów, czarnych ścian i ciemnych, ponurych ludzi, żyje dziś zaledwie kilkunastu Europejczyków, przeważnie Niemców, Austrjaków i Szwedów. Pomiędzy Agra a Sossulem daleko od zatrutych mocarzysk Eleglu, pracują ci ludzie przy budowie kolei żelaznych, tuneli lub w kopalniach, cierpliwie i po bohatersku pokonując trudności, o ile nie ulegną straszliwej malarji. Największem niebezpieczeństwem dla Europejczyka są tu upały słoneczne i moskity, przed któremi mają paniczny strach. Można bowiem uniknąć ukłucia skorpjona, ale nikt nie jest pewien, czy za sekundę nie zada komar straszliwej rany człowiekowi, wystawionemu ustawicznie na to niebezpieczeństwo.

Tubylcy ustanowili tu specjalny zakon, do którego obcokrajowcy odnoszą się bardzo sceptycznie. Do najważniejszych przepisów tego zakonu należy przykazanie: nie śpij nigdy we dnie, a w nocy tylko wówczas, gdy upadasz ze znużenia, w przeciwnym bowiem razie doznasz gorączki, prędzej, niż się tego spodziewasz. Nie spożywaj jaj przed zachodem słońca, ponieważ jajami żywi się demon zła. Spij na dachu domu, a nie w namiocie, a jeżeli tak spać nie możesz, wybuduj na wolnem powietrzu rusztowanie, pokryj je gałęźmi drzew figowych, a potem połóż się na tem rusztowaniu do snu. Przepisy te są w istocie bardzo mądre, stosując się bowiem do nich, można ujść wielu niebezpieczeństwom. Na przestrzeni setek mil nie ujrzy się człowieka i gdyby nie krzyk wielbłądów, mogłoby się wydawać, że to jest kraina umarła dla świata. Mieszkańcy Kurdystanu, tak jak wszystkie ludy wschodu, są nadzwyczaj gościnni, ale gościna za stołem Kurda jest dla Europejczyka prawdziwą męczarnią, podawane bowiem potrawy wywołują przez długi czas potem boleści żołądka.

Najpiękniejszą porą roku jest tu wiosna, kiedy słońce nie dojrzało jeszcze do upałów, kiedy niema komarów, skorpjonów i drzemie w moczarach straszliwa malarja. Kto spędził wiosnę w tym kraju, ten nigdy nie zapomni rozległych obszarów, pokrytych czerwonym makiem, oleandrami i mirtą, wśród których uwijają się stada czapli — mieszkańców kwiecistej prerji.

Ile waży ziemia?

Nasza staruszka ziemia, o której tyle już napisano rozpraw, ma ważyć ni mniej ni więcej, jak tylko sześć sekstyljonów tonn...

W cyfrach możnaby to wyrazić w ten sposób, gdyby do 6 dopisać 21 zer.

Tak przynajmniej dowodzi głośny brytyjski astronom, sir James Jeans, który w odczycie przez radjo wygłoszonym doszedł do takich właśnie cyfr odnośnie do naszej staruszki ziemi. (Ale na jakich podstawach obliczenia te zostały dokonane, tego gazety nie podają).

Hypnotyzowanie zwierząt.

Znanem powszechnie jest zjawisko polegające na tem, że niektóre zwierzęta, jak stawonogi i ptaki popadają w odrętwienie pod wpływem naciskania pewnych określonych okolic ciała.

Dawniejsi badacze to zjawisko znieruchomienia nazywali „symulacją śmierci“, widząc w niem podstęp stworzeń, które w ten sposób chciały ujść swemu prześladowcy.

Teorja powyższa utrzymywała się przez czas czas dłuższy, jednak z biegiem lat poczęły się rozlegać głosy, że nie mamy tu do czynienia z jakąkolwiek symulacją, lecz że stworzenia pod wpływem naciskania odpowiednich okolic ich ciała wpadają w rodzaj snu hypnotycznego.

Obrońca tej tezy, prof. Colman twierdził np., że odrętwienie kury, której w pewien specjalny sposób zegniemy głowę, jest identycznie takiem samem, jak to, które ma miejsce, skoro położonej na ziemi kurze nagle przeprowadzimy kredą białą kreskę, poczynając od dzioba.

Jednak badania nowszych autorów, Richet'a, Raband'a, Pieron'a, wykazały, że jest to zjawisko często odruchowe, które może zostać dowolnie wywołane przez eksperymentatora.

Wedle Rabaud'a mamy tu do czynienia z podniesieniem normalnego napięcia mięśni, którego powstanie i mechanizm jest jeszcze niedostatecznie poznany. Przypuszczają, że u niektórych zwierząt, a w szczególności u ptaków, punktem wyjścia w tem zjawisku jest nabłonek dróg oddechowych. To też zbyt antropomorfiane określenie „symulacja śmierci“, zmieniono na termin bardziej odpowiadający istocie rzeczy — „znieruchomienie odruchowe“. Termin ten nie zawiera w sobie momentu świadomego współdziałania zwierzęcia w opisywanem zjawisku.

Dodać należy, że u każdego zwierzęcia, które ulega odruchowemu znieruchomieniu, istnieje okolica ciała t. zw. „przeciwstawna“, którą wystarczy nacisnąć, aby zwierzę odzyskało normalną zdolność poruszania się.

Poważne badania w tym kierunku przeprowadził prof. P. Rode w Instytucie badań agronomicznych we Francji. Zajmował się on odruchowem znieruchomieniem u niektórych ptaków. Między innemi otrzymał znieruchomienie kury w następujący sposób: kładł ją na grzbiecie i trzymając lewą rką za tułów, prawą ręką odginał przez parę sekund głowę ku szyi w osi ciała. Potem mógł lekko zdjąć ręce, a zwierzę zachowywało swą pozycję. Oddech kury stawał się wolniejszy, ale głębszy, niż w stanie normalnym.

Jeśli się kurę zostawi w spokoju i nie dotyka miejsc przeciwstawnych, ptak trwa w odrętwieniu dość długo, bowiem od minuty do czterech.

Te doświadczenia mogą mieć zastosowanie praktyczne. Można unieruchomić kurę dowoli, bądź przy ważeniu, bądź przy fotografowaniu. W pierwszym wypadku wystarczy kurę unieruchomić na wadze i nawet ruch szalki nie przerwie zjawiska.

P. Rode, jak wspomnieliśmy, robił doświadczenie z rozmaitymi ptakami. Np. wróbel daje się unieruchomić przez proste przewrócenie na dłoni. Natomiast szereg innych ptaków, jak chociażby kaczka, są zupełnie niewrażliwe i w żaden sposób nie można ich unieruchomić.

ODPOWIEDZI REDAKCJI

Omyłka druku: W Nr. 15 „Roli", strona 3, I-sza szpalta, wiersz 10-ty od dołu ma być: „rzyka, który niezgorzej od niego mógłby dźnąć Ta-"

Pp.: **Młot** w K : Wyjątek z powieści p. t. „Ciernistę drogi" świadczy o dużym talencie Pańskim. Rzecz jest napisana ładnie i potoczyście, styl dobry. Nieliczne zresztą błędy ortograficzne można łatwo poprawić. Gdyby nam przesłał Pan całość utworu, może być, żebyśmy go wydrukowali, w wyjątkach rzecz traci na wartości. — **Józef Górecki** w K.: Zagadkami mamy tekę przepełnioną, nie możemy więc oznaczyć, kiedy i czyje pójdą. Pańskie również muszą czekać czas jakiś na swą kolej. — **Józef Pachołek** w K.: „Wiosenną pieśń" zamieścimy. Wierszyk również dobry, czy jednak będzie zamieszczony, o tem zawsze rozstrzyga wolne miejsce w „Roli". — **Ludwik Daniłkiewicz** w W.: Zagadki przeznaczamy do druku. — **Jan Malinowski** w Ch.: Ani o kursach podobnych nic nam nie wiadomo, ani odpowiedniego podręcznika nie znamy. Najlepiejby się było poinformować w tej sprawie u jakiegoś weterynarza. — **Franciszek Śmigielski** w P.: Legenda „Na granitowej skale" posiada dość dużo poezji. O ile miejsce pozwoli, chętnie ją zamieścimy. — **Wojciech Lorenc** w Ł., **Wincenty Kula** w M. K., **Czesław Wośkowski** w U.: Zagadki dobre, przeznaczamy je więc do druku; kiedy jednak będą zamieszczone, trudno nam oznaczyć z powodu wielkich zapasów. — **Maciej Kita** w J.: Taką szelmą babą powinien zająć się sąd i dać jej dobrą nauczkę, aby biednych ludzi nie okradała. — **Henryk Bilka-Głębicki** w S.: Nadużywanie nazw zdrobniałych szpeci udatny zresztą wierszyk Pański. — **Wicek** z B.: Czy taki samouczek jest, nie wiemy. Być może, ale najlepiejby było pojechać do Tarnowa i w jednym z takich sklepów zasięgnąć informacyj, których chętnie udzielą i pouczą Pana o całej tej sprawie. — **Galik** z K.: Wspomniany słownik dostanie w księgarni w Krakowie, ul. Gołębia 10/R. Niech Pan napisze i załączy znaczek na odpowiedź. — **Gorzołka Jan** w B.: Nadesłane 2 zł. wpisaliśmy do prenumeraty, gdyż brak wyjaśnienia. — **Ktoś z Wadowic** przysłał w liście 60 gr. w znaczkach na dwa numera „Roli", a nie podał swego adresu. — **Cegielnia Miejska** w T.: Adres potrzebującego formy: Giza Antoni, wieś Wólka Niedźwiedzka, poczta Sokołów koło Rzeszowa. Prosimy zwrócić się z ofertą do potrzebującego. — **J. Kubinek** w G.: O tę książkę niech się Pan zapyta w księgarni: Kraków, ul. Gołębia 10/R. i załączyć znaczek na odpowiedź, a cenę tych książek Panu podadzą. — **Marek Jędryszek** w K.: To asekuracyjne Towarzystwo zostało dawno zlikwidowane i szkoda Pańskiego starania.

Zagadki do nagrody.

1. Logogryf.

(Ułożył Wł. Wicherek z B.).

■ ☆ ■ ☆ ☆ ☆ Odwiedziny.
■ ☆ ■ ☆ ☆ ☆ Postać biblijna.
■ ☆ ■ ☆ ☆ ☆ Ogłoszenia.
■ ☆ ■ ☆ ☆ ☆ Gatunek tkaniny.
■ ☆ ■ ☆ ☆ ☆ Krzewy ogrodowe.
■ ☆ ■ ☆ ☆ ☆ Bożek egipski
■ ☆ ■ ☆ ☆ ☆ Język łaciński.
■ ☆ ■ ☆ ☆ ☆ Wysoki procent (wsp.).
■ ☆ ■ ☆ ☆ ☆ Miasto w Austrji
■ ☆ ■ ☆ ☆ ☆ Gra hazardowa (l-ł).
■ ☆ ■ ☆ ☆ ☆ In. kraje (wsp.).
■ ☆ ■ ☆ ☆ ☆ Nie krzywy (wsp.).
■ ☆ ■ ☆ ☆ ☆ Cesarz japoński.
■ ☆ ■ ☆ ☆ ☆ Reputacja.
■ ☆ ■ ☆ ☆ ☆ Dopływ Bałtyku.
■ ☆ ■ ☆ ☆ ☆ Półwysep azjatycki.

Rzędy pierwszy i trzeci dadzą imię i nazwisko powieściopisarza, oraz jego dzieło.

2. Szarady.

(Ułożył „Górnik").

I.

Zasiadłem ja na tronie,
Lecz już dawno po mym zgonie;
Bez ogona niszcząc plony
Sieję zgrozę na wsze strony,
Co napotkam, wszystko ginie,
Chata, most, gdy się nawinie,
Lecz gdy głowę mi utniecie
Wtedy mię z łatwością zjecie.

(Ułożył Jan Małkowicz z P.).

II.

Kiedy cały w wodzie pływam
Bez głowy na łące bywam,
Bez ogona w to się zmienię
Co ma człowiek w wielkiej cenie.

II.

Litera w literze,
To dla bydła pasza,
Zgadnijcież ją proszę
Jeśli wola wasza.

3. Kwadrat magiczny.

Ułożył Poldek z B.).

					Ojciec Racheli.
					Miasto w Turcji.
					Zabawa (zdrob.).
					Duch.
					Miasto w Polsce.

Litery pierwszego rzędu poziomego i pionowego dadzą jednakie znaczenie.

4. Bilet wizytowy.

(Ułożył Poldek z B.).

Jan Stykarz

Jaki jest zawód tej osoby.

Za dobre rozwiązanie wszystkich powyższych zagadek przeznaczamy dwie książki do rozlosowania.

Termin nadsyłania rozwiązań upływa dnia 24 b. m.

Znaczenie zagadek z Nru 14 „Roli": 1. Logogryf: Adolf Dygasiński. 2. Szarada: Kalarepa. 3. Łamigłówka: Suchy marzec mokry maj będzie żyto gdyby gaj. 4. Kwadrat magiczny: Kara-Aron-rola-rana (wspak). 5. Układanka: Rola. Lalka. 6. Bilet wizytowy: Naczelnik gminy.

W oznaczonym czasie rozwiązania nadesłali pp.: Władysław Gąsienica z Z., Józef Cieplik z K., Jan Kuczek z G., Ludwik Daniłkiewicz z W., Józef Górecki z K., Czesław Wośkowski z U., Wincenty Kula z M. K., Wojciech Lorenc z Ł., Stefan Ożóg z C.

Nagrody wylosowali pp.: Ludwik Daniłkiewicz z W. i Wincenty Kula z M. K.

Wydawca: Feliks Kowalczyk. Odpowiedzialny redaktor: Antoni St. Bassara.
W drukarni „Czasu" w Krakowie pod zarządem Leopolda Wójcika.

W więzieniu.

— Każdy więzień musi sobie tu obrać jakiś zawód. Co chcesz robić?

— Chcę być podróżującym.



W restauracji.

G o ś ć: Ten dureń wylał mi pół szklanki gorącej herbaty na ubranie.

G o s p o d a r z (ostro): Dolej zaraz panu dobrodziejowi.



— Co to znaczy? Panna Kasia wychodzi za szewca, a przez cały rok kręcił się koło niej kapral?

— Tamta była całkiem insza sprawa.

— Jakto?

— To tylko względem przysposobienia wojskowego.

Giełda płodów rolniczych

z dnia 10 kwietnia b. r.

Pszenica	33·00—33 50	Słoma długa	5·50—6·00
Żyto .	25·50—26·00	Ziemniaki stoł.	0·00—0·00
Owies . .	30·00—31·00	Koniczyna nasienn. czer.	300·00—320·00
Jęczmień .	27·00—28·00	Mąka żytnia	40·00—41·00
Fasola biała	38·00—42·00	Mąka pszen.	58·00—59·00
Groch zwyk.	00·00—00·00	Otręby pszen.	21·00—21·50
Siano słodk.	17·00—18·00	Otręby żytnie	21·00—21·50
Łubin żółty	39·00—40·00	Mąka czerw.	24·00—25·00
Konicz pastew.	19·00—20·00		

Ceny rozumieją się za towar średniej handl. jakości za 100 kg

Ceny bydła i nierogacizny na krakowskiej targowicy

w dniu 10 kwietnia b. r.

Płacono za jeden kilogram żywej wagi:

Buhaje .	od 1·12 do 1·23 zł.	Jałownik	od 1·15 do 1·25 zł.
Woły . .	od 1·12 do 1·25 zł.	Cielęta .	od 1·30 do 1·44 zł.
Krowy .	od 1·00 do 1·10 zł.	Kozy i barany	0·00 do 0·00 zł.
Nierogaciznę	1·30 do 1·45 zł.	Nierogaciznę bitej wagi	od 1·60 do 1.95